

SWIAT



**WĘGRY-
ANGLIA
6:3**
Fotorepor-
taż własny
z meczu na
stronie 2 i 3

O GŁOSZONY przez „Nową Kulturę” pamiętnik szesnastoletniej uczennicy każe zamyśleć się głęboko nad bardzo ważnymi sprawami. Szesnastolatka z podwarszawskiego miasteczka pisze między innymi:

„Obecnie nie wiem, co robić. Jeśli się zaziębę, nie będę odczuwać okresu wiosny, a już dzisiaj dzień jest pierwszym wiosennym dniem. Wiatr wieje, prawdziwie wiosenny wiatr i muskając twarz szepce mi, że już niedługo zakwitną kasztany, niebo coraz bardziej będzie błękitne i przejrzyste. A ja jestem taka głupia. Nie mam wytkniętej drogi. Idę krętymi drózkami, nigdy nie prowadzącymi do czynu”.

Z czego zrodziły się wątpliwości owej młodej osoby? Wątpliwości tym ważniejsze, że na pewno charakterystyczne dla dużej części naszej młodzieży. Pamiętnik roi się od sprzeczności. Z jednej strony mamy tu pochwałę tego, co nazywa się popularnie „amerykańskim stylem życia”, bikińiarstwa i chuligaństwa, prowadzących w rezultacie do marzeń o podziemnej pracy przeciw Polsce. Z drugiej zaś pochwałę książki Ostrowskiego „Jak hartowała się stal”, „Młodej Gwardii” czy „Cichego Donu”. Córkę swą chce nazwać imieniem amerykańskiej gwiazdy filmowej, czyta także „Rodzinę Whiteoaków”, chwali „Dzikuskę” i „Trędowatą”, i jednocześnie pisze nie ze szkolnego obowiązku, ale z własnej woli dla Czecha, z którym koresponduje, artykuł o Pałacu Kultury i Nauki.

Czego dowodzą te sprzeczności? Czego dowodzą te przeciwstawienia czerpane z dwóch zupełnie odrębnych światów, dwóch całkiem odrębnych postaw życiowych? Dowodzą one poszukiwań autorki pamiętnika, poszukiwań jakże tragicznych, jakże dramatycznych. Idea przewodnia poszukiwań jest ta sama, ale samo poszukiwanie prowadzi raz do pochwały sprawców mordu dokonanego na Stefanie Martyce, a raz do pochwały wspaniałych bohaterów radzieckiej powieści.

S ZESNASTOLETNIA dziewczyna, współczesna dziewczyna polska, jest pełna temperamentu życiowego. Nie ma w niej bierności wobec życia. Ona szuka drogi do życia samodzielnego, życia, które by zaspokoilo jej dążenia, jej temperament, jej marzenia. Idąc po omacku, raz po raz staje nad przepaścią, to znów wydaje się wchodzić na drogę właściwą. Pamiętnik napisany jest z wielką siłą. Co chwila do dziewczyny, stojącej nad przepaścią, chcemy krzyknąć: „Stój! Nie tędy!” A przepaść ciągnie jak magnes. Sensacyjno-pornograficzne powieści, erotyczno-pijackie zabawy prowadzą w sposób zdawałoby się nieunikniony do zbrodni, do szpiegostwa, do zdrady własnego narodu. Przygoda kapitalistyczna to zbrodnia, świat przestępczy, mord i, w rezultacie, na wielką skalę — wojna.

Tym perspektywom, które kapitalizm może dziś przedstawić i zaferować jednostkom poszukującym życia burzliwego, interesu-

jącego, ludziom, którzy pragną żyć niebezpiecznie, przeciwstawiamy słusność socjalizmu, jego logiczność, jego nieubłaganą konsekwencję. Ale czy to już wszystko? Czy tak przedstawiając perspektywę socjalizmu, nie zważamy jego możliwości? Czy nie okrawamy go? Czy go nie zubożamy?!

Pamiętnik uczennicy dowodzi, że niejednokrotnie w umysłach młodych, podatnych na wpływy drobnomieszczańskiego środowiska, na zarazę płynącą z Zachodu i na pozostałości kapitalizmu w ludzkiej świadomości, przegrywamy walkę, której przegrać nigdy nie powinniśmy. Rzecz ciekawa, że autorka pamiętnika lubi wiele książek radzieckich. W nich bowiem, w powieściach Ostrowskiego, Szolochowa czy Fadiejewa socjalizm żyje jako płomienna idea walczących żywych ludzi, a nie tylko jako słuszną koncepcję ekonomiczno-polityczną.

M ÓWIĄ dzisiaj nasi wrogowie, żeśmy ostatnio wymyślili troskę o człowieka, sprawę człowieka. To kłamstwo! Prawda bowiem polega na tym, że sam marksizm zrodził się nie z czego innego, jak z troski o człowieka, ze współczucia z człowiekiem, pogrzebionym i wyzyskiwanym w kapitalizmie. Socjalizm byłby pustą i scholastyczną, gdyby nie utrzymywał najściślej związku z człowiekiem. Jak dla Anteusza — Ziemia, tak dla socjalizmu i komunizmu — człowiek stanowi wieczyste, nigdy niewyczerpane źródło siły.

Na swojej drodze krótkiego ale już burzliwego życia nasza szesnastolatka nie znalazła wystarczająco mocnego przekonania, że socjalizm to znaczy wielkie życie, ciekawe, interesujące w swej zmienności i różnorodności, w swym bogactwie i w swych niebezpieczeństwach. Wśród burzy przecież marynarze z „Herkulesa” przez dwie doby ratowali swych towarzyszy, dając dowody wspaniałego, socjalistycznego bohaterstwa. Za mało o takich rzeczach i czynach się pisze. Z takimi rzeczami nie umieliśmy trafić do wszystkich młodych, zapominając, że są oni młodzi, co stanowi ich wartość, a nie ich cechy godne pojęcia. Fantazja, wyobraźnia nie raz aż zbyt wybujała, uczuciowość oby nie spaczona, odwaga i zapał — to zawsze służyć może dwóm sprawom, dobrej lub złej, naszej albo ich sprawie. Pamiętnik uczennicy przypomina nam, że walka klasowa toczy się także w duszach młodych o dusze młodych. Widzimy, że część naszych młodych znalazła się w topieli i potrzebuje naszego ratunku.

— Człowiek za burtą! — to alarmujące wezwanie na okręcie.

Spieszmy na ratunek, ocalmy wszystkich — mądrą myślą, rozsądnym słowem, pokazaniem, udowodnieniem, że za burtą czeka ich zguba, a na naszym okręcie czeka ich piękna, interesująca podróż w kraj pięknej przyszłości — wśród burz, wśród walk i w ogniu pięknych wzruszeń.

JAN SZELAĞ



Kosics (po lewej) mija Anglika i w zawrotnym tempie rusza naprzód. Za chwilę piłkę otrzyma Hidegkuti, który w 55 sekundzie meczu strzelił bramkę. Takiego

Z W Y C I Ę S T W O NAD NIEZWYCIĘŻONYMI

ARCHIE NEWHOUSE

Zdjęcia: KEYSTONE

(Korespondencja własna „Świata” z Londynu)

W SZYSCY Anglicy, a w szczególności miłośnicy piłki nożnej, składają dzisiaj hołd Węgrom. Na stadionie Wembley sto tysięcy widzów podziwiała zwycięstwo mistrzów olimpijskich nad drużyną angielską w stosunku 6:3. Dumni piłkarze Anglii, którzy od 1923 roku nie przegrali żadnego meczu na swoich boiskach, utracili opinię niezwyciężonych. Ale zwycięstwo Węgler, to jeszcze nie wszystko. Reprezentanci tego kraju dali pokaz gry w piłkę nożną, jakiego w Anglii jeszcze nie widziano. Wystarczy wspomnieć, że nasza drużyna poniosła klęskę nienotowaną od roku 1881, kiedy to Szkocja odniosła nad nami zwycięstwo w stosunku 6:1.

Gra Węgrów była doprowadzona do perfekcji. Tłumy widzów obserwowały z podziwem, jak Węgrzy w czasie całego meczu nie zrobili ani jednego fałszywego posunięcia, jak każda okazję wykorzystywali dla strzelenia bramki, jak dążyli do zwycięstwa z fantastyczną wprost wolą i siłą. Ich taktyka, strzały i podania zaskoczyły angielską obronę.

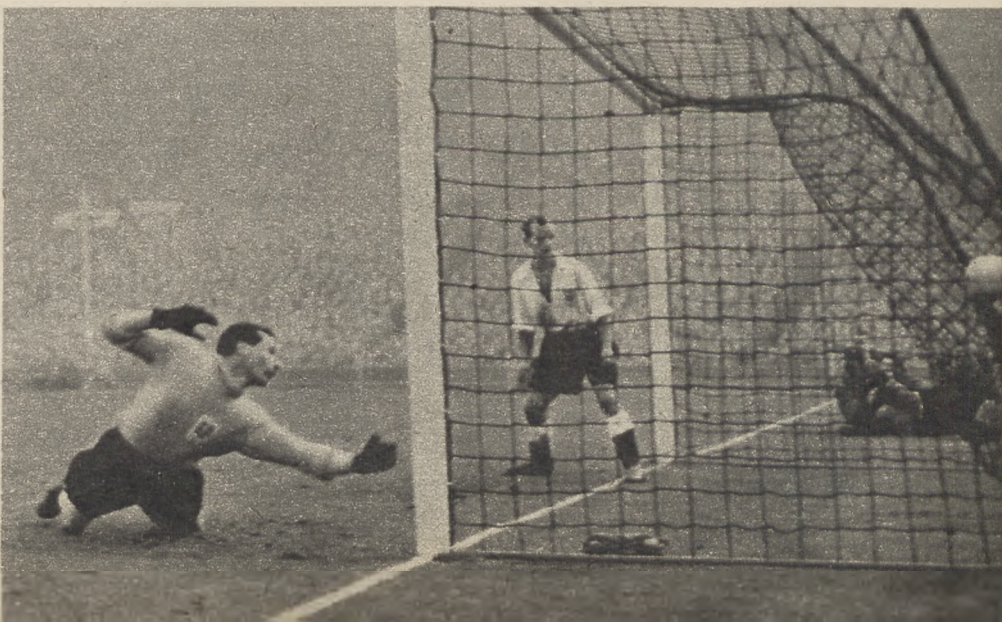
Puskas, kapitan węgierskiej drużyny nie na darmo zyskał sobie tytuł „najlepszego piłkarza świata”. Był on graczem doskonałym, tak zresztą, jak doskonałą była cała drużyna. Nie gorszy pokaz gry dał Kosics, który ani razu nie stracił łączności z Puskasem i prawoskrzydłowym Budalem. Hidegkuti, najstarszy w całej drużynie, uzyskał dla Węgler trzy bramki. Jego pierwsza bramka, strzelona w 55 sekund po rozpoczęciu meczu, była nie lada wyczynem. Skrzydłowi Budai i Cibor wykazali wielką szybkość i dokładność. Tak znakomitych graczy napadu Anglia nie widziała od lat.

Równie dobrzy byli Węgrzy w obronie. Nie nie udało wytrącić z równowagi Bozsika, a Lorant potrafił opanować każdy nasz atak. Całkowicie pewnym bramkarzem był Grosics.

Ze strony angielskiej jedynym „artystą piłki nożnej” był 38-letni Stanley Matthews. Jego krótkie podania częstokroć dezorientowały Węgrów. Jednakowoż nie miał on dobrego poparcia wśród pozostałych graczy drużyny angielskiej. Ogólnie rzecz biorąc, angielska piłka nożna nie jest już tak dobra, jak dawniej, a co gorsze — nie widać młodych graczy, którzy zapowiadali się obiecująco.

Drużynę węgierską owoacyjnie żegnali angielscy widzowie wdzięczni za pokaz tak doskonałej gry. Węgrzy odnieśli dobrze zastufane zwycięstwo. Na bankiecie, wydanym po meczu dla obydwu drużyn, przewodniczący Angielskiego Związku Piłkarzy — Brook Hirst, oświadczył: „Piłkarze angielscy będą się starali kultywować ten sam styl gry, który tak wspaniale zademonstrowali im gracze węgierscy w dniu dzisiejszym”.

W tej właśnie chwili piłka węgierska ląduje po raz trzeci w bramce angielskiej. Bezzradnie patrzy na nią Merrick... Będzie to największa klęska od 1881 roku!





gwałtownego startu nie spodziewali się niezwyciężeni dotychczas gospodarze.



Zaskoczeni Anglicy nie potrafią opanować sytuacji. Obrona nie jest w stanie powstrzymać huraganowego ataku Węgrów..



Próby kontrofensywy paraliżuje doskonała obrona węgierska i znakomity bramkarz Grosics, którego widzimy w akcji..

UWAGA: W następnym numerze opublikujemy foto-reportaż z treningów piłkarzy węgierskich i angielskich



BRAMKARZ ANIELSKI MERRICK DAJE Z SIEBIE WSZYSTKO... NA PRÓŻNO! WĘGRZY — TO ZESPÓŁ PRAWDZIWYCH ARTYSTÓW PIŁKI NOŻNEJ..

— Niestety, czwarta bramka — mówi zrezygnowany gest Merricka. — Do przerwy utrzyma się 4:2. Co będzie dalej? — Takie pytanie zadaje sobie 100 tys. widzów.

Hidegkuti strzela głową szóstą bramkę. Węgrzy odnoszą nienotowany w dziejach swego sportu sukces: zwyciężają 6:3, Anglicy tracą opinię niepokonanych..





W Barburkę — dzień górniczego święta — miliony obywateli naszego kraju spoglądają ku szybowi kopalnianym, życząc polskiemu górnictwu dalszych sukcesów, życząc każdemu „ślaskiemu pieronowi” z osobna — szczęścia, osobistej pomyślności, przysłówliwych stu lat.

Myślmy w ten dzień i o pięknej górniczej tradycji. Również i z niej wynika bowiem dzień dzisiejszy: wielka bitwa polskich górników o 100 milionów ton węgla w ostatnim roku Planu 6-letniego, nieustraszona praca dla Polski socjalistycznej, sprawiedliwej i zamożnej.

W ciągu wieków zmieniała się technika górniczej pracy, zmieniały się warunki życia górników; zawsze jednak los kruszców ziemi łączył się z losem człowieka, który je wydobywał. Było tak i w staropolskim zagłębiu — w gwareckiej kuźnicy i w pańszczyźnianej kopalni, było tak i dużo później, w przedwrześniowej Polsce, kiedy zamknięciu śląskich kopalń przez międzynarodowe koncerny towarzyszyło srożące się wśród górników bezrobocie. Losy kruszców — losy człowieka. Ci, którzy walczyli o prawa śląskiego ludu, i ci, którzy żądali pełnego wykorzystania skarbów ziemi polskiej, stanowili jedną rodzinę bojowników niezłomnych, wśród których świecą nazwiska Stanisława Staszica, Kluka i Kownackiego, Wilhelma Wolffa i Józefa Włeczorka. Dlatego też często wspominamy te nazwiska, kiedy myślmy o Karcie Górniczej i o imponujących cyfrach wydobycia węgla w Polsce Ludowej; o nowych śląskich kopalniach albo o rozbudowie i unowocześnieniu kopalń dawnych, czasem wiekowych.

W tradycyjne górnicze święto werble śląskich załóg, werble Stalinozłoty i Szopienic, Chorzowa i Wałbrzycha witają dzień nowy polskiego górnictwa i hołd składają pamięci jego pionierów. Im też poświęcony jest „Medal z Białogonu“.)

MEDAL Z BIAŁOGONU

Napisał: ARTUR MIĘDZYRZECKI

KRUSZCOM Polski zajaśniało słońce... — Ambroży potyka się na słowie kruszczom i czyta jeszcze raz od początku. Drobne załamanie dykcji niweluje patetyczność zdania, pozostawia zasadniczy sens. — A właśnie co do sensu — podejmuje Ambroży — co do sensu trzeba wyjaśnić.

Wyjaśnialiśmy więc, a początek brzmiał jak w baśniowej opowieści: za górami, za lasami, za siedmioma rzekami. W okolicach Kielc, Chęcin i Suchedniowa, za szczytami Łysicy i Gór Jeleniowskich, za rzekami Kamienną i Nidą, na ziemi jodeł, buków i jarzębiny, w lasach wielkiej piękności znajdowały się skarby ukryte. Bardzo dawno temu odkrył je być może młody chłop spod Samsonowa, zachwycił się żółtym połyskiem ziemi, zbierał kamienie, zauważył czerwony połysk tumlińskich wzgórz. Leśną drogą chodzili w tym czasie od Samsonowa i Tumlina więźniowie krakowskich biskupów, karczowali las, nadali nazwę miejscowości swego wygnania, powstał Zagnańsk, a w nim jeden z najstarszych w Polsce ośrodków górnictwa i hutnictwa. Z ziemi nad Nidą dobywano rudę żelazną, miedź i ołów, w wiekach średnich zadymiały tam pierwsze kuźnie, w piętnastym stuleciu ruszyły kopalnie kieleckich i chęcińskich marmurów, rozkwitła ceramika w Ilży, strony Gór Świętokrzyskich stały się staropolskim zagłębiem górnictwa. Kopalnie ówczesne należały do właścicieli gruntów, byli nimi szlacheccy dziedzice albo i biskupi, ale rozwój zawdzięczały nieodmiennie dzierzawiającym je drobnym producentom, górnictwom gwarcom i ich zrzeszeniom, mistrzom-rudnikom, a w wielu wypadkach pańszczyźnianym pracownikom dworskiego przemysłu. Było tak i pod Kielcami i pod Krakowem, w Olkuszu, Wieliczce, Bochni. W Olkuszu kopalnie ołowiu stanowiły później własność królewską, szlachecką, mieszczańską, w jednym przeciwieństwie były podobne. Nigdzie — jak stwierdzał to siedemnastowieczny dokument, „nie masz u J. Panów miłosierdzia nad nędzą ludzką, ubogi botnik waży każdej godziny zdrowie swoje, wejdź na górę, aby się spracował, przysilił, nie ma za co naleba kupić...” Opis dotyczący również Kielec, i Olkusza, i niedaleko od Olkusza położonej Nowej Góry z kopalniami rud galmanowych i srebra, i wsi Mogiła, owej łacińskiej Clara Tumba z piętnastowieczną papiernią na obecnych terenach Nowej Huty, i kopalń pod Bytomiem, o których zachowała się papieska bulla z roku 1136. Papież Innocenty II potwierdzał arcybiskupowi gnieźnieńskiemu przywilej pobierania dziesięcin z kopalń srebra w Zwierzawie, a było to w tym samym okresie, w którym król francuski wysyłał legację do Krzywoustego,

prosząc go o użyczenie kilkudziesięciu polskich górników.

— Jak myślisz, użyczył czy nie użyczył — pytał zaciekawiony Ambroży — posłał czy nie posłał?

Posłał zapewne. I kto wie, może po ośmiu wiekach na to właśnie powoływali się co bardziej wykształceni sanacyjni dygnitarze z Generalnego Towarzystwa Emigracyjnego w Mysłowicach. Tysiące polskich bezrobotnych jechały wówczas na zachód, do zagłębi Nord i Pas-de-Calais, czekały ich tam niewolnicze kontrakty, płaca o połowę niższa od francuskiej, ale bogaciło się



Ruiny zakładów hutniczych w Samsonowie. Przed czterystu laty powstał tu pierwszy w Polsce piec szybowy do produkcji płynnego metalu. Zakłady samsonowskie zniszczone zostały przez najazd szwedzki. Odbudowali je w XVII w. samsonowscy kuźnicy. Jeden z nich, Piotr Pająk, był poprzednikiem naszych racjonalizatorów produkcji: wynalazł sposób oczyszczania rud krajowych z siarki i otrzymywania dobrej stali.

na ludzkiej tułaczce Towarzystwo, więc i tułaczka trwała nieprzerwanie, uregulowana i stała — do Francji, albo sezonowa — na Saksy. W latach owych, kiedy na dworcu w Mysłowicach panował tak bardzo ożywiony ruch, gdzieś koło roku 1935, odnaleziono poemat „Officina ferraria”, dotyczący terenów pobliskiego Rożdżenka. Obecnie należą one do Szopienic, wtedy, kiedy pisana była „Officina...”, w roku 1612, Rożdżeń był oddzielną miejscowością, sąsiedował z Mysłowicami, miał swoją kuźnicę założoną w połowie XVI stulecia. O niej to napisał siedemnastowieczny poeta-hutnik Walenty Rożdżeński utwór „Officina ferraria albo huta i warsztat z kuźniami szlacheckiego dzieła żelaznego”. Poemat dedykowany był Jaśniej Wielmożnemu Panu Andrzejowi Kochciemu, przynosił opis warsztatów nad Rawą, pracy kuźników, najstarszych górniczych obyczajów, kopalnianych legend.

„Są też jacyś duchowie dziwni, którzy w ziemi Pospolicie bywają więc między kruszczami. Ci z górniki przy kruszczach jakby cech trzymają, A gdzie kruszców najwięcej, tam radzi mieszkają... A gdy który z tych duchów w górnictwie sposobie Ukaże się z kilofem kołając po szybie, Wnet górnicy z radością k' temu miejscu śmiecie Kopają się, bo kruszcza tam znajdują wiele. Ci duchowie górnikom w gorach nic nie szkodzą, Lecz z uśmiechem wesoło tak do nich przychodzą. A czasem się być zdadzą, gdy na nie patrzą Górnicy, że też takie — jak oni kopają... Drugi rodzaj jest duchów tych, co są złośliwi, Górnikom przy kopaniu kruszców nieżyczliwi. Ten obyczaj — po szybach tułając się — mają, że więc radzi górniki w ziemi zawałają. Taki duch w Aneberku w jednym szybie bywał, Który się z wielką szyją jak koń ukazywał Tak długo, aż na koniec w swej szatańskiej złości Zaduśił w onym szybie górników dwanaści. I tu u nas w Olkuszu taki duch przychodził Czasem też, a w niektórych miejscach bardzo szkodli Górnikom, a gdy kopają w ziemi nierozumnie, Filozofowie takie duchy nazywają Niememi, którzy najmniej rozumu nie mają; A ci zawżdy w strasliwej postawie przychodzą Do ludzi, a opilem bardzo radzi szkodzą“.

Jest tu więc, obok opowieści o Szarleju i Skarbnikach, legendarnie udrapowana kronika pierwszych katastrof kopalnianych w Aneberku i Olkuszu; jest i morał antyalkoholowy, poprzedzający wywody o porządku kuźniczego gospodarstwa, budowaniu i naprawie kuźnic. Dalej, we „własnym konterfekcie albo wyobrażeniu żywota górniczego”, zawieramy bliższą znajomość z siedemnastowieczną załogą:

„...W lichych domkach mieszkamy, bo nigdy o pyszne Budowanie nie dbamy, ani o rozkoszne Leganie. Mur jest z węgla — nasza pościel — suchy, W którym leżąc nie szkodzą nam pchły ani muchy. Więc też i o dobry byt, jakiego na świecie Ludzie pragną, tu w naszej nie pytały się hucie, Bo widzisz, jako wszyscy ciężko pracujemy, A przecież niedostatek i nędzę cierpiemy. Wszakżeż zawżdy w wolności swojej, jaką mamy Z przodków swoich, acz w nędzy, wszyscy się kochamy. Niał się tylko cieszymy, która naszej nędzy Jest największa nagroda, nie skarb, nie pieniądze!“

*) „Medal z Białogonu“ jest fragmentem większej całości, wyjętym z tomu szkiców, który ukaże się nakładem PIW.

Walenty Roździeński należał do grona kuźników nie przywiązanych do miejsca pracy pańszczyźnianym prawem, ich stare kuźnie stanowiły godne sąsiedztwo zbójckiej swobody i janosikowej legendy. Innym nie była dana „największa nagroda”, niebezpieczne zajęcie należało często do pańszczyźnianych usług, zachowywały się po nim opisy albo i wzmianki Ksiąg Referendarskich. Znalazła się w nich na przykład skarga starosty wólbromskiego, Jana Dembińskiego, który około roku 1750 zmuszał chłopów ze wsi Zajczków do pracy w kopalniach.

„Pozwani posłuszni być dworowi nie chcą. Góry seu szyby mosiężne, ołowiane, miedziane i żelazne kopać i circa easdem fodinas robić zbraniąją się”. Dzięki temu oporowi chłopci zajczkowscy przeszli do historii. Inni pozostali bezimiennymi pracownikami dworskiego przemysłu, który bardzo często znaczył dla kraju mało, ale pozostawił przecież niezniszczalne pamiątki ludowego talentu, kowalskie arcydzieła w domach Gdańska, Sącza, Krakowa, misternie zdobione artyleryjskie moździerze, piękne świeczniki, zbroje zrecznych płatnerzy, połyskliwą i ostrą broń rycerską, dzwony wielogłosowe, barokowe helmy budowli. Były i takie warsztaty, które związały się z ojczystą historią. Kuźnica Szabelnia, w najbliższej okolicy Roździeń, Szabelnia, gdzie sławetny magister szablarz Stanisław Mikulowski prowadził w początku wieku osiemnastego wyrób broni i wykształcił wielu znakomitych specjalistów, miała w dobie Insurekcji Kościuszkowskiej niecodziennych klientów. Chłopi wsi pszczyńskich przekuwali wtedy w starej kuźnicy kosy na szable i należycie oceniali kunszt uczniów mistrza Mikulowskiego.

W czasach, w których starosta wólbromski oskarżał poddanych z Zajczkowa, poważniejsze zainteresowania właścicieli „gór seu szybów mosiężnych i ołowianych” nie skupiały się jednak *c i r c a e a s d e m f o d i n a s*. Ogólnie rzecz biorąc, żelazo oznaczało dla nich końską podkowę, a cyna, w najlepszym wypadku — puchar bezimiennego artysty.

Była jednak również i tradycja Szabelni, był Roździeński, byli osiemnastowieczni artyści-odlewnicy Kalida i Augustyn Klis z hut w Gliwicach, były wreszcie kruszce polskiej ziemi, niezbadane, niepokojące wyobraźnię, zaprzatające myśli nie tylko samych kuźników. Przed Staszicem pisali o nich Kluk, Kownacki, Świtkowski, Osiński, oddzielne publikacje poświęciło im „Fizyczno-Chemiczne Warszawskie Towarzystwo”, wiele artykułów — „Monitor”. Tutaj szło już nie o końską podkowę i nie o nowe źródło dochodu dla wielomoznego Andrzeja Kochwickiego. Szło o przyszłość kraju i zamożność jego mieszkańców, o działalność patriotyczną wielkiej wagi. Łączyła się ona z równocześnie toczoną walką o zniesienie pańszczyzny, z nową obywatelską świadomością warszawskiego klubu jakobinów, z nazwiskami Kołłątaja, Meiera i Jezierskiego, z wielkim społecznym protestem przeciwko upadkowi wsi i miast. Po drugiej stronie barykady stała magnacka prywata i zdumiewająca, jasnie urodzona ciemnota czytelników „Nowych Aten” księdza Benedykta Chmielowskiego. W owej encyklopedii „wszelkiej ściencji pełnej”, a wydanej w roku 1754, właściciele latyfundiów i górzela z czytali z upodobaniem o najnowszych zdobyczach wiedzy:

„Aby czarownice krowom nie odbierały mleka, lubczyku, orliku, biedrzeńcu, trybule, wrzodowego ziela, majeranu polnego, poświęciwszy, dawać im podczas dojenia, przez takie ziela cedić mleko, garki parzyć, przyczyniwszy pokrzywy i nawrotku... Jęczmień siać, gdy wiatr wieje od wschodu na zachód, na dawno gnojonym polu sieć go na schodzie miesając, na świeżym gnojeniu po nowiu”.

Siano więc jęczmień jak nakazywały „Nowe Ateny”, na dawno gnojonym polu, na schodzie miesiąca, gospodarka rolna kulała na dobre, co zaś dopiero porządek kuźniczy albo i manufaktury! Mnożyły się wówczas w dalekiej Anglii i Francji, zapowiadając nowy rozdział ludzkiej historii, ale tutaj były nieliczne, zaniedbane, bo do czego jak do czego, ale nie do przemysłu i nie do geologicznych poszukiwań było abonamentem księdza Chmielowskiego. Pionierzy polskiego przemysłu przy czyniali się też w ogromnej mierze do obalenia feudalnej niewoli. Szturmowali ją od podstaw, frontalnie, w sposób zasadniczy. Nie wszyscy z nich dostrzegali wówczas, że dymy fabryczne zastąpią jedną niewolę — drugą, nie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że los skarbów ziemi wiąże się najściślej z losem ludzi, którzy je dobywają, dalszy bieg historii odebrał niejednemu z nich wiele złudzeń. A przecież nawet wówczas, a szczególnie później nieco, w dobie Staszica, dwie tendencje były już wyraźne. Jedną powodowała się przede wszystkim interesami właścicieli fabryk i terenów górniczych, drugą uważała bogactwa ziemi za własność narodową. Lata 1817-20 to walka tych dwu stanowisk, beznadziejna staszicowska kampania przeciw Lubeckiemu, przeciw dzierżawieniu hut w Pankach, przeciw nadmiernemu wywożeniu rudy z kraju. Staszic walczył wówczas o ścisłe powiązanie teorii i praktyki, nauki i przemysłu, wiedział, że ani powiązanie takie, ani racjonalne i nowoczesne inwestycje nie są możliwe tam, gdzie decyduje magnacki folwark z pańszczyźnianą manufakturą i doraźna intrata kapitalistycznego przedsiębiorcy. Niestrudzony działacz, zwolennik wykorzystania bogactw naturalnych dla dobra narodu, był również i niestrudzonym geologiem, badaczem ziemi ojczystej. „Ziemia, czas i praca — pisał — są źródłem wszystkich bogactw kraju, więc poznać swoją ziemię jest w towarzystwach pierwszą, najistotniejszą potrzebą”.

Był to w rzeczy samej i pierwszy warunek rozwoju przemysłowego, nie wystarczało mówić o sprawach zasadniczych, należało przede wszystkim wskazywać miejsca, okolice, możliwości. Stąd też wielkie zasługi

poprzedników Staszica, cierpliwych informatorów, żmudnych geografów, pierwszych nawet polskich reportażystów. Publikacje ich odegrały rolę ogromną, uczyły, zbierały rozrzucone wiadomości w jedną całość, tworzyły mapę gospodarczą kraju, opatrzoną krzyżkami, znakami zapytania, obszernym komentarzem. We wrześniu 1784 ukazał się w „Pamiętniku historyczno-politycznym” jeden z pierwszych w prasie naszej reportażi gospodarczych: Opisanie Końskich — z Podróży Pana Carofi. „Różne uwagi” przynosiły obraz bardziej ogólny, były bowiem publikacją programową, w Powszechnej Wiadomości o końcu i przedsięwzięciu Warszawskiego Fiz.-Chym. Towarzystwa przeczytać można:

„(Ziemia polska) w to wszystko obfituje, cokolwiek natura do ubogacenia i uszczęśliwienia podać może...”

„Spodziewamy się tedy, że... synowie ojczyzny... za powinność do siebie mieć będą wrodzone dary swoje na pożytek spółmieszkańców obracać...”

„Nie byłoby nic gorszego dla kraju, jak gdyby takowe rzeczy od cudzoziemców tylko dependowały...”

„Przyjaźni wszystkich uprzejmym mężów i patriotów się zalecamy...”

„Dano w Warszawie, d. 1 października 1787”.

Zainteresowania członków Towarzystwa były rozległe i wszechstronne. Najwięcej miejsca poświęcono przecież sprawie kopalnictwa i manufaktur. Wyliczyli więc autorzy „Różnych uwag” fabryki, które mogły w Polsce być założone; lista ich obejmowała ogółem dwadzieścia gałęzi produkcji; w dziedzinie metalurgii troszczono się przede wszystkim o wykorzystanie rud żelaza, ołowiu i miedzi. Wiazał się zaś z tymi wnioskami paragraf następny, „Przedmowa do zrozumienia różności Gór”, z linii zainteresowań Staszica i jego poprzedników.

W latach 1781-82 wydał swe dwutomowe dzieło Krzysztof Kluk: „Rzeczy kopalnych osobliwie z datniejszych szukanie, poznanie, zażywanie”. W tomie drugim — „O kamieniach w powszechności” — znalazł się m. in. ciekawy opis XVIII-wiecznej załogi górniczej i hutniczej. Czytamy tam o prawnukach Walentego Roździeńskiego:

„Wszyscy ci, którzy robią w kopalni, i gdzie kruszce topią, nazywają się górnika mi. Są to ludzie osobni, tego tylko patrzący. Mają swoje osobliwe zwyczaje... i osobny strój. Kiteł, kapelusz ostry bez brzegów, skórę okrągłą i za pasem niajaki berdyszek... Dzielią się na niejaki stopnie”.

Szyciła ówczesna ciagnęła się przez 12 godzin: „od godziny 4 lub 5 z rana, aż do 4 lub 5 po południu...”. Był w pobliżu kopalni dzwon, oznajmiał koniec szyci, górnicy wychodzili, murzyli oczy od światła. Płacono im od sążnia, niewiele, a przecież zachodzące słońce było to jedyny dostępny im dzienny widok. Za chwilę zapadł zmierzch, a nazajutrz, kiedy szli do pracy, było jeszcze ciemno. Na święta nie było co liczyć, właściciele oglądali się chętniej za własnym zyskiem niż za zbawieniem górniczych dusz. Kluk relacjonował, że „robotnicy w kopalniach niewiele światła mają do święcenia, będąc od niektórych dla pośpiechu roboty uwolnieni”.

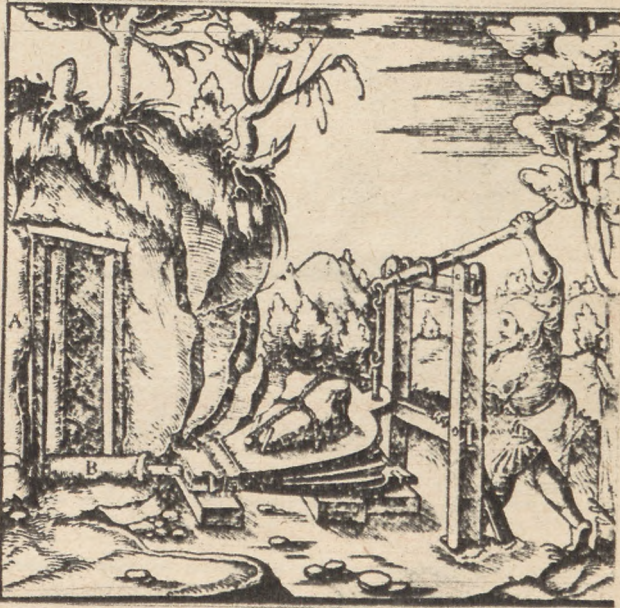
W dziesięć lat później na dzieło Krzysztofa Kluka powoływał się Hipolit Kownacki w rozprawie „O górach”. Wskazywał na bogate w minerały okolice kraju, domagał się pełnego wykorzystania najdroższej narodu własności. Otwierała rozprawę pochwała gór, które „wstrzymują występowanie morza, łamią gwałtowność wiatrów, miarkują upały słońca, dostarczają wód z swych źródeł i są nieprzebranem gniazdem rzeczy kopalnych”.

„Na przykład, ile wiedzieć mogę, w okolicy starostwa Szydłowskiego, Checińskiego, Kielc znajdują się starożytne kopalnie kruszców miedzi i ołowiu, w Powiecie Radomskim, Opoczyńskiej Ziemi, liczne huty i kopalnie żelaznej rudy. W okolicy Checina ślady kopalni marmurów, w Kunowie, Pińczowie, Szydłowie kopalnie użytecznych kamieni, pod Buskiem nadzieja soli kamiennej na źródle słonej wody ugruntowana. Sam Powiat Krakowski z Księstwem Siewirskim cały prawie obfituje w wszelkiego gatunku kopalnie. Pod samym Krakowem ciągnie warstwy soli od Wieliczki po Podgórze po koryto Wisły podnoszących się... Dalej o dwie mile w hrabstwie łęczyńskim kopalnie marmuru... nie dosyć wybrane... bo nie dosyć zgłębiane. Dalej aż do granicy Śląskiej na kilkadziesiąt mil kwadratowych rozległy kraj, zburzony prawie i przewrócony licznymi starożytnymi kopalniami... Idąc śladami starożytnych tamiecznych górników i uważając z zastanowieniem ich roboty, wątpię nie można, że musieli posiadać szczególniejszą górską znajomość...”

Bokończenie na str. 22



Opuszczanie się górników do kopalni. Rysunek z dzieła Agricoli wydanego w roku 1561 („De re metallica”).



1561: miech kopalniany (z dzieła Agricoli).

W ostatnim roku Planu Sześcioletniego roczne wydobywanie węgla w Polsce Ludowej osiągnie 100 milionów ton. Do celu tego wiedzie trudna droga codziennego wysiłku górnika i robotnika przemysłu maszyn górniczych.





Ta fotografia z 8 listopada 1953 wywołała bezsilną wściekłość odwetowców Adenauera. Widzimy na niej prezydium jednego z wielkich zebrań, na których zjednoczony naród francuski protestuje przeciw układom wojennym z Bonn i Paryża. Za stołem prezydialnym, obok deputowanych komunistycznych, zasiadają przedstawiciele innych stronnictw i ugrupowań. Od prawej: deputowany MRP — Bouret; b. minister Capitant (gaullista); wdowa po Yves Farge'u; działacze Francuskiej Partii Komunistycznej — Pierre Villon i Bruguiere. Na trybunie — generał de Gorguille.



18 listopada 1953. Tysiące mieszkańców francuskiego Strassburga demonstrują przeciw uzbrajaniu odwetowców z Bonn

FRANCIS CREMIEUX

WIELKI PROTEST

Korespondencja własna „Świata” z Paryża

Zdjęcia: IFP i MULLER

SZEROKA fala protestu, jaka ogarnęła Francję na wieść o prowokacyjnym aresztowaniu Benoit Frachon, sekretarza generalnego Powszechnej Konfederacji Pracy (CGT) — doprowadziła do uwolnienia go i spowodowała jeszcze jedną kompromitację rządu paryskiego, nie pierwszą i nie ostatnią zapewne. Minione tygodnie były w tym względzie niezwykle pouczające.

Lud Francji potrafił otworzyć cele więzienne, do których wtrącono Alain Le Leapa i Henri Martina. Uwięzieni działacze związkowi i bojownicy o pokój zostali uwolnieni. Później gabinet paryski nie był w stanie sprowokować aresztowania Jacques Duclos, Etienne Fajona, Francois Billoux i Raymond Guyota, członków Biura Politycznego Francuskiej Partii Komunistycznej. Po całodzienniej dyskusji Zgromadzenie Narodowe odrzuciło wniosek rządowy o pozbawienie ich nietykalności poselskiej. W głosowaniu, oznaczającym nowy sukces ludu francuskiego, rząd Lanieli pobity został 302 głosami przeciw 291, chociaż nie zapomniano o żadnym ze środków, które mogłyby skłęcić większość popierającą faszystowskie kroki gabinetu. Przez cały dzień minister Plevén — jeden z współtwórców tzw. „armii europejskiej” — nerwowo przebiegał kuluary i starał się przekonać wahających się deputowanych. Mimo to — „ultra-europejczyści”, nazywani przez paryską ulicę „100-procentowymi Amerykanami”, otrzymali głosny policzek. Poza komunistami i socjalistami przeciw rządowi głosowało 53 deputowanych z rządowego stronnictwa chadeckiego MRP (na ogólną ich liczbę 89) i 13 radykałów, wśród których znajdował się były premier Daladier. Działo się to 6 listopada.

W 48 GODZIN PÓŹNIEJ

8 listopada, w 48 godzin później, Plevén, gorliwy zwolennik uzbrojenia zachodnio-niemieckich odwetowców, znalazł się w mniejszości na kongresie swego

własnego stronnictwa i utracił stanowisko przewodniczącego. Były minister Mitterand postawił na kongresie wniosek żądający zawieszenia broni w Indochinach. Plevén, urzędujący minister wojny, stawał na głowie, żeby wniosek ten utracić. Miał jednak przeciw sobie znaczną większość głosów i poniósł dotkliwą porażkę.

Jednocześnie coraz ostrzej występują sprzeczności w łonie partii radykalnej, w związku ze sprawą ratyfikacji układów z Bonn i Paryża o „armii europejskiej”. Herriot — przewodniczący partii radykalnej — a także Daladier, są zdecydowanie przeciwni ratyfikacji tych układów. Minister policji, Martinand Deplat, prowadzi przeciw nim gwałtowną i cyniczną kampanię, której bezpośrednim natchnieniem jest działalność i frazeologia McCarthy'ego i Jego sławetnej komisji. Martinand Deplat zarzuca więc Daladierowi i Herriot, że uczestniczą w zgromadzeniach, organizowanych przez francuski ruch obrońców pokoju i w protestach przeciw „armii europejskiej”; że „sprzyjają grze komunistów”, a nawet, że są „zdrajcami”. Minister policji, którego przemówienie przypominało najbardziej znamienne hitlerowskie wystąpienia, nie cofnął się nawet przed stwierdzeniem, że postawa Herriot i Daladiera stanowi „zбочenie intelektualne, które bardzo często towarzyszy zбочeniom obyczajowym”.

Wystąpienie to wywołało jednak natychmiastową odpowiedź wszystkich francuskich działaczy politycznych, którzy toczą walkę przeciwko uzbrajaniu odwetowców. Daladier i Herriot nie zgodzili się na odwołanie swych opinii, wyrażonych w pismach do organizacji Ruchu Obrońców Pokoju. Zapowiedzieli natomiast, że nadal uczestniczyć będą w kampanii Ruchu Pokoju u boku komunistów, a Daladier oświadczył ponadto, że zamierza wystąpić o zwołanie nadzwyczajnego kongresu partii radykalnej, poświęconego wyłącznie sprawie układów z Bonn i Paryża.

Przeciw uzbrajaniu odwetowców wypowiadają się również i nacjonalistyczni deputowani gaullistowscy, choć czynią to z innych powodów. Pismo gaullistowskiego RPF stwierdzało niedawno:

„Nie można pominąć milczeniem kłamliwego argumentu, którym posługują się w swojej działalności zwolennicy armii europejskiej: „Zgadzasz się z komunistami — dowodzą oni — a więc nie masz racji”... Przypomnijmy więc, że ludzie odpowiedzialni za politykę zagraniczną Francji, jeśli tylko mieli głowę na karku, nigdy nie kierowali się względami „światopogląd-”

Deklaracja FPK (piszemy o niej w tekście) zdwoiła rozmach walki narodu francuskiego przeciw „armii europejskiej” i nowemu Wehrmachtowi. Wielki wiec w hall Porte de Versailles



dowymi", jak to mówi się dzisiaj, ale zawsze postępowali tak, jak nakazywały interesy kraju... Trzeba być wielkim głupcem, żeby rzucać nas jak barany w przepaść armii zwanej „europejską“, dlatego tylko, że nie życzą jej sobie Rosjanie“.

SKĄD PRZYCHODZĄ PIENIĄDZE?

Minister policji Martinaud Deplat, bohater wspomnianego wyżej faszystowskiego przemówienia, nie zapomniał również o naczelnej zasadzie swych goebbelsowskich mistrzów. Głosi ona: „Kłamcie ile wlezie, zawsze coś z tego pozostanie“. Usiłując zawoalować rzeczywistość i materialną presję amerykańską, Martinaud Deplat mówił więc o rzekomych „milionach, które przychodzą z Polski na propagandę przeciw „armii europejskiej““. Paryski rzecznik nowego Wehrmachtu przyłączył się w ten sposób do antypolskiej kampanii Adenauera i dawał dowód znakomitego zrozumienia politycznych ideałów kanclerza z Bonn. Oszczercstwo obróciło się jednak bardzo rychło przeciw swym autorom i rzeczywistość raz jeszcze okazała się wręcz odmienna od pobożnych życzeń atlantyckiego sztabu. Nawet gaullistowski deputowany, generał Montsabert, wystąpił przeciw próbom tuszowania jawnej korupcji, którą amerykańscy agenci stosują w kuluarach Zgromadzenia Narodowego. Artykuł Montsaberta nosił znamienity tytuł: „Stoimy w obliczu spisku“. Zakończenie brzmiało:

„Kiedy dochodzą mnie wieści (chciałbym je uważać za nieprzeczające) o zlocie, które pewne kraje, osobistości i organizacje rozważają w tym celu, aby uspić sumienia i uzyskać szatunkową większość dla obecnych projektów armii europejskiej — chciałbym powiedzieć tym, którzy płacą, by nie żyćci żadnych złudzeń: nie będą oni nigdy dostatecznie bogaci, żeby zapłacić cenę francuskiego protestu“.

Inny dziennik nacjonalistyczny stwierdzał jednocześnie:

„Za pieniądze pochodzące z podatków ściąganych przez międzynarodowy kartel węgla i stali, p. Jean Monnet (jeden z twórców kartelu) rozpoczyna gwałtowną kampanię za szybkim utworzeniem „małej Europy“. Kampania ta posługuje się m. in. jako ostatnim środkiem, hasłami z dziedziny propagandy antykomunistycznej“.

Cytaty te wykazują, na jak wielki i ciągle rosnący opór francuskiej opinii publicznej natrafia presja Waszyngtonu i Bonn. W istocie potępiana jest ona przez ogromną większość społeczeństwa, przeciwstawiającego się zdecydowanie remilitaryzacji Niemiec zachodnich.

Przypomnieć również należy, że potężna kampania przeciw „armii europejskiej“ zdwoiła rozmach w wyniku uroczystej deklaracji Francuskiej Partii Komunistycznej. Stwierdzała ona, że Partia gotowa jest „prowadzić akcję w kraju i w parlamencie wspólnie ze wszystkimi ludźmi, kimkolwiek by oni byli, którzy przeciwstawiają się układowi o armii europejskiej“.

JEDNOŚĆ

Paryscy zwolennicy odwetowego Wehrmachtu usiłowali przeciwdziałać narastającej fali protestu, posługując się zwyczajnymi już w takich wypadkach antydemokratycznymi sloganami. Wszystko to jednak zawiodło. Akcja przeciw układowi wojennemu wzmacnia się z każdym dniem. Pomiedzy 8 a 12 listopada odbyły się cztery wielkie zgromadzenia, w których — po raz pierwszy od chwili wyzwolenia — udział wzięli, obok przywódców Francuskiej Partii Komunistycznej, działacze polityczni, należący do stronnictw mieszczańskich.

Siła protestu Francji powoduje też ogromny niepokój wśród zachodnio-niemieckich odwetowców i ich amerykańskich opiekunów. Niezliczone prowokacyjne oświadczenia Adenauera i „ostrzegawcze“ deklaracje z Waszyngtonu nie skłoniły bynajmniej ludu francuskiego do porzucenia swego stanowiska. Skutki adenauerowskich pogroźek były wprost przeciwnie do zamierzonych. Podobnie, niespodziane powiadomienie o Konferencji Trzech na Bermudach: miało na celu przyspieszenie akceptacji układów wojennych przez francuski parlament, wywołało natomiast jeszcze szerszą falę narodowego protestu przeciw tym układom. Zwłaszcza że odwetowcy Adenauera z góry zacierali ręce, zapowiadając, że jednym z głównych zadań konferencji na Bermudach będzie realizacja układów z Bonn — nawet przed ich ratyfikacją przez francuskich deputowanych. Rząd paryski nie mógł więc nadal odwlekać parlamentarnej debaty na temat polityki zagranicznej. Licząc się z postawą opinii publicznej, nie ośmielono się przeciw postawić w Zgromadzeniu Narodowym sprawy ratyfikacji układów wojennych. Manewr gabinetu Lanieli polegał na tym, aby poddać dyskusji jedynie tzw. „europejską wspólnotę polityczną“. Manewr ten zawiódł jednak od pierwszego dnia sesji parlamentarnej. Dyskusja nad „wspólnotą europejską“ skupiła się przede wszystkim na jej części najbardziej istotnej, tj. na „armii europejskiej“, przedstawiającej sobą groźbę nowej agresji niemieckiego militarizmu.

Debatę rozpoczęła się 17 listopada, w okresie piętrzących się trudności gospodarczych i finansowych, spowodowanych zresztą przez tę samą katastrofalną politykę zbrojeń i wojny, która zagraża suwerenności Francji i swobodom demokratycznym jej ludu. Z trybuny parlamentarnej rozlegało się przez wiele dni echo potężnego oporu Francji przeciw wskrzeszeniu nowego Wehrmachtu. Obok deputowanych komunistycznych — przeciw „armii europejskiej“ wypowiedziało się w parlamencie wielu przedstawicieli stronnictw mieszczańskich i prawicowych m. in. generał de Montsabert, radnyka Bonnefous, gaullista Leon Noel, generał Aume-

ran. Postępowy republikanin de Chambrun przypomniał w swym przemówieniu, że traktat francusko-radziecki „pozostaje najlepszą gwarancją bezpieczeństwa“ Fran-



Niezliczone prowokacyjne oświadczenia Adenauera i protegujących go amerykańskich ministrów nie skłoniły bynajmniej społeczeństwa francuskiego do porzucenia swego słusznego stanowiska. Lud Francji jest nadal czujny i świadomy swej siły.

cji“ i że tzw. „europejska polityka“ rządu „wywołuje sprzeciw całego narodu“.

„Czas najwyższy — oświadczył deputowany komunistyczny Billoux — powrócić do polityki francuskiej, do polityki głoszonej stale przez partię komunistyczną, polityki, która zapewniłaby pokój i niezawisłość narodową, wolność i postęp społeczny. Uczynimy wszystko, aby układy z Bonn i Paryża nie zostały ratyfikowane“.

Głos narodu dawał się słyszeć jednocześnie w całym kraju, gdzie odbywały się setki zgromadzeń protestujących przeciw odbudowie Wehrmachtu i żądających od parlamentu odpienia polityki narodowej kapitulacji. Siła zjednoczonej opinii nie tylko pokrzyżowała zamary „stuprocentowych Amerykanów“ ze sztabu „armii europejskiej“, ale i wywołała niebываłe zamieszanie w łonie samego gabinetu paryskiego.

„Debaty — stwierdzał dziennik „Liberation“ — odbywały się głównie w kuluarach... Istnieje głęboki kryzys między partiami większości koalicyjnej oraz wewnątrz każdej z tych partii. Istnieje konflikt w grupie socjalistycznej, panika w łonie MRP i wśród zwolenników „armii europejskiej“. Manewry i kontrmanewry, farsa i dramat — oto obraz debaty w Zgromadzeniu...“

Charakterystyczne było i to, że z 13 przedłożonych projektów rezolucji — 11 odrzucało projekty utworzenia „europejskiej wspólnoty politycznej“, a zwłaszcza „armii europejskiej“. Kiedy rządowe stronnictwo MRP złożyło wniosek o udzielenie pierwszeństwa w głosowaniu rezolucji prawicowych socjalistów (SFIO), wyprzedzającej się za „armią europejską“ — Zgromadzenie Narodowe odrzuciło ten wniosek 325 głosami przeciw 247. Jednocześnie, jak donosił „Le Monde“, „debata i rozdzwinki przeniosły się ze Zgromadzenia Narodowego na rząd, w którym ministrowie gaulliści, poparci przez ministrów z innych ugrupowań, zagrozili podaniem się do dymisji“.

We wtorek, 24 listopada, „niezależny“ deputowany prawicowy, Garet, wniósł rezolucję, w której proponował, by „Zgromadzenie Narodowe aprobowało program

przedstawiony przez Lanielę w jego deklaracji rządowej, złożonej w swoim czasie, po wyznaczeniu go na premiera, oraz by Zgromadzenie Narodowe zapewniło kontynuowanie polityki jednoczenia Europy“. Gabinet Lanieli poparł tę rezolucję i postawił sprawę votum zaufania. Rzecznik Lanieli oświadczył przy tym, że jeśli votum zaufania dla rządu nie zostanie uchwalone bezwzględna większością głosów (to jest co najmniej 314 głosami) — rząd ustąpi. Nie stało się tak jednak, choć kuluarowa większość, która poparła chwiejający się gabinet, liczyła zaledwie 275 głosów przeciw 244.

Jeden z dzienników paryskich, pisząc o nastrojach, towarzyszących zakończeniu debaty, stwierdzał m. in.:

„Gdy zbliżał się świt, nie mówiono już w kuluarach Zgromadzenia o ocaleniu Europy, lecz tylko skromnie o ocaleniu rządu“.

Spółeczeństwo francuskie mówi przecież coraz głośniejszym głosem nie o ocaleniu rządu, ale o ocaleniu suwerenności narodu i bezpieczeństwa Europy. Lanielę usiłował w ostatniej chwili przed głosowaniem wzmocnić swoją pozycję przez przychylne ustosunkowanie się do propozycji zawartych w nocie radzieckiej z 26 listopada. Naród francuski żąda jednak nie ogólnikowych zapewnień, ale konkretnych czynów. Jego walka przeciw wojennym układom z Bonn toczy się z coraz większą siłą.

„Ostatnia debata parlamentarna — czytaliśmy w „Humanite“ nazajutrz po dyskusji — stanowi silny cios, wymierzony w katastrofalne układy z Bonn i Paryża... Jest rzeczą znamieną, że rząd uzyskał większość w głosowaniu jedynie dlatego, że nie powołał się bezpośrednio na swoje poparcie dla „armii europejskiej“, gdyby to uczynił, zostałby niewątpliwie pobity“.

Jednocześnie, podsumowując dyskusję w Zgromadzeniu Narodowym, dziennik „Le Monde“ stwierdzał:

„Debaty wykazały, że w parlamencie nie ma obecnie większości, która by poparła projekt „armii europejskiej“.

TOPOLA NA ZAMÓWIENIE

EDWARD KARŁOWICZ

Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI

ZAUWAŻYLIŚMY to (i urwieczeniśmy na błonie fotograficznej) gdzieś w powiecie śremskim w drodze do Kórniku. Ale taki sam widok można oglądać wszędzie, w każdej części kraju. Wzdłuż między dzielącej dwa pola rosną drzewa — wierzby i topole. Zdaniem dr Wilusza, który z nami jedzie, drzewa te są w jednym wieku — około 25 lat. A jakaż różnica w rozmiarach. Zresztą — popatrzcie na zdjęcie...

W naszej przyszłej walce o poprawę klimatu wielkie znaczenie mieć będzie sadzenie pasów leśnych i alej*). Dla tych zadrzewień nieleśnych niewątpliwie najodpowiedniejszym drzewem będzie topola. Czy jednak należy sadzić wszędzie pierwsze lepsze topole, nie bacząc na ich gatunki i odmiany, nie uwzględniając miejscowych warunków? Jasne, że nie. Mamy w kraju wiele gatunków i odmian topoli, rodzinnych i obcych, które się u nas przyjęły. Różnią się one znacznie właściwościami, inne mają wymagania, inne z nich można uzyskać korzyści. Wypadałoby więc prosto wybrać z istniejących topoli takie, które dla miejscowych warunków są najodpowiedniejsze. Rozwiązanie niewątpliwie dobre, ale na pewno nienajlepsze.

Nauka miczurinowska dała człowiekowi do ręki potężną broń: uczy kształtować hodowane rośliny w wybranym kierunku, pozwala dążyć w selekcji do świadomego, nie przypadkowego uzyskania pożądanych zmian. A zatem nie będziemy się ograniczać do tego, co już mamy, nie będziemy przebierać w istniejącym materiale. Dążymy do tego, by stworzyć topole, najlepiej odpowiadające naszym potrzebom i wymaganiom.

*) Por. reportaż „Zielone tarcze” w nr. 46 „Świata”.

Tym właśnie zajmuje się Instytut Dendrologii i Pomologii w Kórniku, którym kieruje prof. Stefan Białobok.

II

Kórnik posiada rozległy, wielusethektarowy ogród botaniczny (arboretum), w którym znajdziemy tysiące roślin ze wszystkich części świata. Między innymi spotkać tu można 160 różnych gatunków i mieszańców topoli. Nic więc dziwnego, że tu właśnie skoncentrowano prace badawczo-selekcyjne nad uzyskaniem topoli dla masowych zadrzewień nieleśnych.

Wędrujemy z prof. Białobokiem alejami arboretum. Drzewa, drzewka, krzewy, pnącze, wszystkie podcienie zieleni. Wiele roślin zgubiło już liście, inne dopiero zaczynają kwitnąć, inne jeszcze wiodną purpurowo, żółtawo, złociście... Prof. Białobok przedstawia ciekawe okazy:

— Metasekwoja, czyli żywe wykopalisko. Jest „krewną” amerykańskich olbrzymich sekwoi. Znalaziono jej ślady w warstwach geologicznych, odnoszących się do okresu kredowego w trzeciorzędzie. A całkiem niedawno udało się odkryć cały lasek metasekwoi, oczywiście żywych, w Chinach...

— *Celastrus articulata*, po polsku dławisz. Pochodzi z Ameryki Północnej. Proszę popatrzeć, jak ten pnącź owinał się wokół pnia...

Ofiarą dławisza jest młody platan. Zdrewniałe skręty dławisza tak mocno zacisnęły pień, że platan nie może rosnąć wszczep i przypuszczalnie uschnie.

Dużo jeszcze dziwów można obejrzeć w kórnickim arboretum. Jest tu niewinnie wyglądająca roślina z Florydy, parząca wielokrotnie bolesniej od pokrzywy, jest brzoza (*Betula nigra*) o korze wiśzącej w strzępach jak szmaty, są kwiaty tak cuchnące, że niesposób koło nich stać, i wiele, wiele innych.

A oto znów zaskakujący widok: strzelista topola, jak gdyby uwięziona w drewnianej wieży...

— To nasz pomysł racjonalizatorski — wyjaśnia prof. Białobok. — Wieża ułatwia nam prace doświadczalne.

Potem zapomnieliśmy o wszystkich botanicznych dziwach Kórniku i mówiliśmy już wyłącznie o najważniejszej dziedzinie badań Zakładu — o wyprodukowaniu topoli na zamówienie.

III

Zamówień takich Zakład kórnicki ma trzy: na topole leśną, na topole dla krajobrazu rolniczego (tzn. dla pasów leśnych i alei), wreszcie na topole ozdobną, dekoracyjną — do parków, przed budynki itp. Założenia każdego z tych zamówień są inne, ale metoda uzyskiwania potrzebnych cech drzewa jest wspólna — jest to metoda krzyżowania tych gatunków i odmian, które mogą owe potrzebne cechy przekazać swoim potomkom.

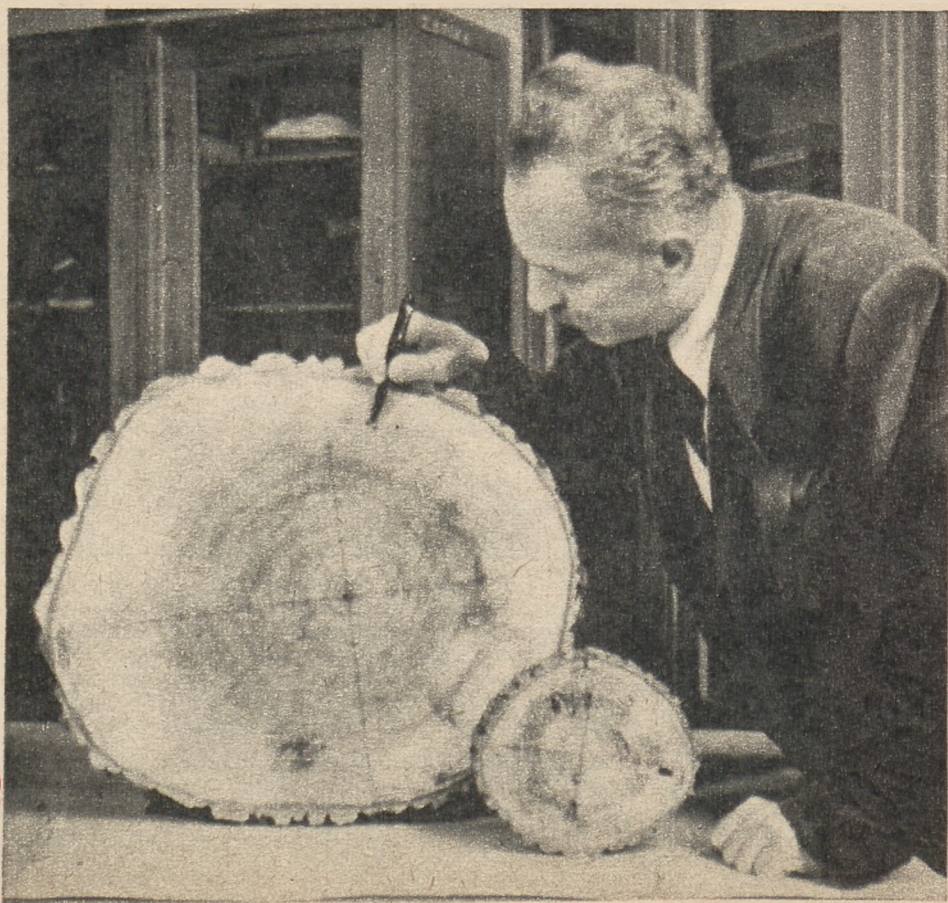
Jak się krzyżuje topole? Sprawa nie jest w zasadzie skomplikowana. Istnieją — jak wiadomo — topole o kwiatkach wyłącznie żeńskich, albo wyłącznie męskich. Otóż z kwiatów „topoli-ojca” zbiera się pyłek i przechowuje w lodówce, w temperaturze nie przekraczającej 5 stopni wyżej zera. Tym pyłkiem opy-

la się następnie żeńskie kwiaty „topoli-matki”. Spróbujmy teraz sobie wyobrazić, że mamy już zebrany pyłek, którym chcemy opylić żeńskie kwiaty topoli wysokiej na 15—20 metrów. Jak to zrobić — wdrapać się na drzewo, ryzykując podarcie ubrania? Sprowadzić drabinę strażacką? Opylać ze śmigłowca?

Tu dochodzimy do prostego wyjaśnienia zagadki — dlaczego niektóre topole w Kórniku „uwięzione” są w wieżach. Są to wybrane „matki”, które zapyla się co roku pyłkiem różnych „ojców”. Dzięki pomysłowym wieżom można bez trudu wdrapać się, a raczej wejść po schodkach, i opylić wybrane gałęzie. Potem można równie łatwo zebrać dojrzałe nasiona.

IV

Mamy więc nasiona — „dzieci” wybranych rodziców. Należy je teraz sadzić — i obserwować, co z nich wyrośnie. I nie tylko obserwować: dzieci winny być wychowywane od najmłodszej młodości. Racjonalne wychowanie młodych topoli unika stwarzania im ciepłarnianych warunków. Młodziutki drzewka sadi się nie w ogrodowej ziemi, ale w takiej glebie, dla której są przeznaczone. Nie chroni się ich przed szkodnikami ani chorobami; jeśli nie potrafią obronić się same — są niewiele warte.



Oglądaliśmy w Kórniku taką szkółkę, a raczej „topolowe przedszkole“, liczące wiele tysięcy młodych roślinek. Są tam „dzieci“ różnych rodziców, udane i mniej udane, rokujące większe czy mniejsze nadzieje. Bardzo trudno na podstawie młodych roślinek określić, jakie z nich drzewa wyrosną. Prof. Białobok i współpracujący z nim młody „topolog“, inż. Władysław Bugala, szukają usilnie metod, pozwalających możliwie wcześniej określić przyszłe cechy wyhodowanego mieszkańca.

Wśród licznej rzeszy wychowanków „topolowego przedszkola“ wyróżniał się wzrostem jeden egzemplarz — pochodzący ze skrzyżowania osiki (*populus tremula*) i topoli białej (*populus alba densiramula*). Prof. Białobok pozwolił się sfotografować przy swojej pupilce — z dumą o tyle uzasadnioną, że ledwie mógł sięgnąć ręką wierzchołka tej siedmimiesięcznej zaledwie olbrzymki.

Trudno to przewidzieć już dziś, ale być może ten właśnie mieszaniec okaże się rekordzistą wzrostu w topolowej rodzinie i jako taki w tysiącach i milionach egzemplarzy chronić będzie pasami leśnymi nasze pola...

V

Topola może rosnąć w lesie, my jednak uparcie mówimy o topoli jako o drzewie dla leśnych pasów i alei. Ten upór ma swoje uzasadnienie: topola nie lubi rosnąć w zwarcu, nie znosi cienia. Można drogą selekcji wyhodować topolę dla lasów (robi to m. in. Zakład w Kórniku), będzie ona jednak zawsze mniejsza i szczuplejsza od topoli rosnącej luźno.

Dr Wilusz pokazywał nam pierścienie z dwóch 18-letnich topoli, ścięte 30 cm nad powierzchnią ziemi. Jedna z nich rosła luźno, druga w lesie, gdzie drzewa stoją o 2 metry jedno od drugiego. Popatrzcie na zdjęcie — co za uderzająca różnica wielkości! Nie trudno sobie obliczyć, ile razy więcej masy drzewnej dostarcza topola, rosnąca samotnie lub w alei.

Tej masy drzewnej nie mamy w Polsce za dużo — a zapotrzebowanie rośnie stale i będzie rosło z każdym rokiem. Pomyślmy tylko o nieprzerwanym wzroście nakładów książek, podręczników, gazet, czasopism — ile na to tylko trzeba drzewa! O tym, by zmniejszyć drzewostan w kraju — nie wolno nam nawet myśleć. Musimy dążyć do zwiększenia produkcji drewna inną drogą.

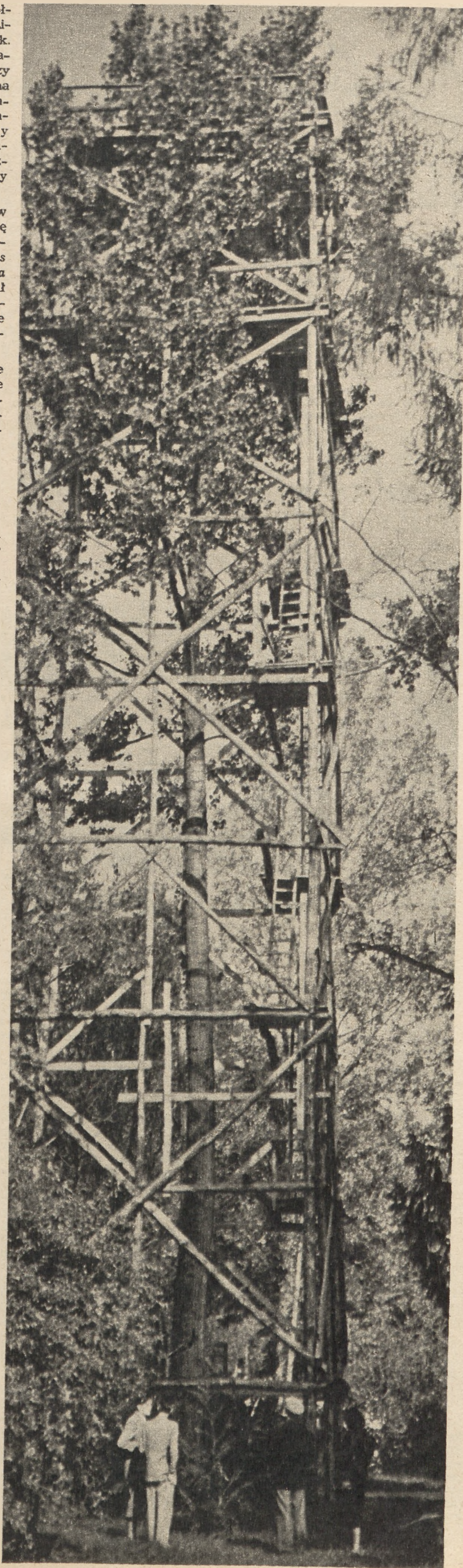
Las rośnie wolno — topole wyrastają znacznie szybciej! Dwudziestoletnia topola może dać półtora kubometra masy drzewnej. Jeśli posadzimy topole wzdłuż wszystkich potoków, ścieków, rowów melioracyjnych i granicznych, dróg dojazdowych itp. — rozwiąże to całkowicie problem surowca drzewnego w skali krajowej. Jeśli jeszcze dodamy do tego pasy leśne dla ochrony pól, których potrzeba dla rolnictwa, zdaje się nie ulegać wątpliwości — uzyskamy dostatek drewna i poważne rezerwy.

VI

Cały ten topolowy problem wydać się może odległy, odnoszący się do dalekiej przyszłości. To prawda: jeżeli dziś zasadzimy sto milionów drzewek, to jeszcze za trzy lata nie będziemy mieli z tego realnych korzyści. Ale to bardzo ważne, że dziś o tym myślimy, że dziś pracują nad tym nasi uczeni, że dziś stwarzamy fundament dla przyszłych korzyści i osiągnięć.

Wiemy na przykład, że w pewnej mierze będziemy spożywać w ostatnich dwóch latach sześciolatki owoce naszych wysiłków w pierwszych czterech latach. To nie dzieło przypadku oczywiście, ale logiczny wynik rozwoju naszej planowej gospodarki.

I takie właśnie planowanie, pozwalające wybiegać w przyszłość nie tylko myślą, ale także konkretnym zamierzeniem i czynem — jest jedną z największych wartości naszego ustroju.



NA TEMATY LITERACKIE

MARIAN BRANDYS

I INNE

OFIARA REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO

LITERATA krakowskiego, Tadeusza Kwiatkowskiego, poznałem w kilka miesięcy po wojnie. Poznałem go w ten sposób, że ktoś z krakowskich znajomych wskazał mi go, palcem i wyjaśnił namaszczonego szeptem: wiesz, to ten Kwiatkowski, co napisał surrealistyczną powieść „Lunapark“, mówią, że bardzo utalentowany.

Następnie przeczytałem ów „Lunapark“. Dziś w żaden sposób nie mogę już sobie przypomnieć, czy była to powieść, czy zbiór opowiadań. Pamiętam tylko, iż po przeczytaniu surrealistycznego „Lunaparku“ wyrobiłem sobie opinię, że surrealizm służy na to, aby z książki — poza najbliższymi przyjaciółmi autora — nikt nie mógł zrozumieć. Chciałem, starałem się, ale — mimo najlepszych chęci — talentu Tadeusza Kwiatkowskiego rozgryźć mi się wówczas nie udało.

Później Tadeusz Kwiatkowski znikł mi z widnokręgu literackiego na kilka lat. To znaczy — nie tak zupełnie. Wiedziałem, że siedzi po staremu w Krakowie, że skrobie od czasu do czasu jakieś felietoniki teatralne. Słyszałem, że wyjeżdżał na morski rejs do Brazylii, potem czytałem w prasie literackiej jeden czy dwa reportaże, sławiące w głównej mierze piękno kilimów brazylijskich czy meksykańskich. Ale też na tym koniec. Więcej — jak mówią — ani dychu, ani słyhu. Czasem tylko, gdy zaglądałem do Krakowa, ten czy ów z martwiących się o ginący świat pocziwców podwawelskich szemrał mi w cieniu Sukiennic o młodym talencie, zmuszonym do milczenia przez brzydki realizm socjalistyczny.

— Tak się, panie dziu, dobrze zapowiadał, a tu ten realizm... ha, nie pierwsza to ofiara i nie ostatnia!

Aż tu nagle, gdzieś na początku roku 1952, bomba. Na konkursie satyrycznym Ministerstwa Kultury jedną z pierwszych nagród zostaje odznaczona powieść satyryczna pt. „Kłopoty z talentem“. Autor — Tadeusz Kwiatkowski z Krakowa. Ale jaka ta powieść była, nie od razu udało nam się dowiedzieć, bo prawdziwe kłopoty z talentem zaczęły się dopiero po przyznaniu nagrody. Nagrodzoną książką zajęło się w „trybie uzgadniania“ jedno z wydawnictw i na długie półtora roku utopiło ją w swych tajemniczych laboratoriach.

Ale widocznie mają rację ci redaktorzy wydawnictw, którzy twierdzą, że „co się odwlecze, to nie uciecze“. Bo w roku bieżącym Tadeusz Kwiatkowski święci swój powtórny po ośmiu latach debiut literacki aż dwiema na raz pozycjami książkowymi. Przy czym obie pozycje są tego rodzaju, że trzeba je przeczytać i trzeba o nich pisać.

Pierwsza z tych książek to „Gwiazda brazylijskiego nieba“ — zbiór opowiadań o ludziach, którzy w kra-



Rys. A. Perayic

jach Ameryki Południowej i na egzotycznych wyspach walczą o wolność i o pokój. Opowiadania te stanowią właściwy plon literacki wspomnianego już rejsu brazylijskiego i widać z nich, że Kwiatkowski w czasie swej zamorskiej wyprawy interesował się nie tylko kilimami brazylijskimi. W naszym dotychczasowym piśmiennictwie wspaniała tematyka walki o wolność i o pokój uległa żalosnemu spopolitowaniu, a nawet zojdyzmemu przez wiele pseudoliterackich twórców, które w rzeczywistości były tylko mniej lub bardziej poprawnie odrobionymi wypracowaniami szkolnymi na zadany temat. Ale opowiadania Kwiatkowskiego nie mają nic wspólnego z tymi martwymi publikacjami. „Gwiazda brazylijskiego nieba“ to zbiór pysznych krwistych nowel, naładowanych dramatyzmem i przesyconych klimatem dalekich lądów i mórz. Książka ta wprost prosi się o porównanie z pisarstwem Jacka Londona. I wydaje mi się, iż nie popełnię przesady, gdy powiem, że pod trzema najlepszymi opowiadaniem zbioru „Towar z wysp“, „Cena szczęścia“ i „Wyspa siedmiu nieszczęść“ — autor „Opowieści mórz południowych“ mógłby podpisać się bez wstydu.

Nie trudno zgadnąć, że najwdzięczniejszym odbiorcą „Gwiazdy brazylijskiego nieba“ będzie z pewnością młodzież — natomiast drugą książkę Kwiatkowskiego, owe nagrodzone „Kłopoty z talentem“, naj-

ZESZŁEJ wiosny przebiegłem sobie krew... — powiedział bezpiecznie grający ze mną w szachy. — Była ta pora co teraz, a wypadło mi leżeć w łóżku parę godzin. I byłem zamroczony od postrzału... szok — rozumiecie? Teraz mi się robią czyraki. —

— Palcami sięgnął ku szyi okręconej bieleńskim bandażem i wykonał dłonią pieszczotliwy gest nie dotykając bolącego miejsca. — Ciągnie mnie, uwiera, głową nie da obrócić. No to ja roszuję...

— Na dobre zdrowie!... — bąknąłem zasłyszana gdzieś przysłówkę szachową, aby wykazać, że wszystko, co dookoła nas się dzieje ani mnie nie dotyczy, ani parzy.

— On mnie tak urządził — powiedział partner, odruchowo wskazał ruchem głowy kąt świetlicy i syknął z bólu. — Cała krew przebiegła... cała krew. W kącie, obszernej i mrocznej świetlicy o nisko nawisłym suficie, przypominającej poczekalnię prowincjonalnego dworca, leżał na stole zastrzelony bandyta. Był to mężczyzna około czterdziestki, szczęki jego pokrywała czarna szczerba dwutygodniowego zarostu, jedno oko pozostało otwarte, drugie zaś, przymknięte do połowy, zastygło w upiornym mrugnięciu. Twarz miał suchą jak morda zagłodzonego psa.

Ubrany był w wyleniałe kozuch i grube samodziałowe bryczesy chłopskiego kroju; ze spodni wystawały żółte, zrogowaciałe stopy. Butów nie zdążył zdjąć, ponieważ zaskoczono go w czasie snu. Ostrzeliwał się z „jedenastki“ Colta. Znalaziono zaszyte w pasku spodni złote dolary i „świniki“, nie było tego wiele, to nie był człowiek od „dużej“ roboty.

Młody mężczyzna o puciołowatej twarzy zawiązał rękawy u koszu i krzątał się wokół stołu. Zdjął ostatni odcisk daktyloskopijny i delikatnie wsunął karton do koperty.

— Koniec — powiedział.

Do stołu podeszło dwóch ludzi. Dźwignęli sztywne, zamrożone ciało bandyty.

Nie jest to nic przyjemnego i dlatego zapewne, aby pokonać odrę, jeden z nich przysadywał:

— Skończyło się twoje urzędowanie „Michałko“... skończyło k.. cię mać.

Patrzyliśmy za wychodzącymi ja, mój partner i kibic.

Kibic powiedział:

— Dostał swoje dwa deka. Wilkowi — wilcza śmierć.

Partner powiedział:

— Ilu on ludzi napsuł, ile szkody narobił, a złota za to ile? Jedenaście małych monet. Rozsmakował się ostatnio. Starego Koralu związał, pognał w białizinę parę ładnych kilometrów po mrozie i powiesił na suchej wierzbie, napisał kartkę: „Tak będzie wszystkim wam bolszewikom“ i przypiął staremu do koszuli. Nie śpieszył się, smakował... ech...

Ja powiedziałem:

— Koral? Nie częste nazwisko.

— Znalście go? — spytał kibic i spojrzał na mnie bystro tym samym badawczym wzrokiem, co wszyscy wchodzący do świetlicy.

— Nie — powiedziałem — mówię o nazwisku, a nie o człowieku.

— Pozwólcie. — Kapitan, który mnie tu przywiozł, zapraszał do gabinetu komendanta. We wnętrzu trwał zapach spalonego tytoniu i archiwalnego kurzu. Od pieca szedł nużący upał. Siedział tam za biurkiem, inkustowanym niegdyś kunsztownie masą perłową, człowiek w grubym mundurze sukiennym. Twarz jego pełna była spływających ukośnie brudów.

— Tak — mówił zastępujący komendanta oficer, dotykając pozostałych po wykruszonej masie perłowej zagłębień... — Przyjechaliscie, a ja nawet wiem, co by wam tu poradzić. Zaraz trzeba iść na pogrzeb... a wy pójdziecie z nami? Bo trzeba by się już zbierać.

Wyszliśmy. Były w powietrzu pierwsze zapowiedzi wiosny. Słońce iskrzyło w śniegu kryształowym światłem. Od lasów i jezior ciągnął już nie twardy wiatr zimowy, lecz miękki powiew, nasycony nikłymi zapachami wilgotnego igliwia, trącał o twarz tak delikatnie, jakby żreback obwąchiwał zamszowymi chrapami.

W zatoce wśród borów dookolnych tkwiło miasteczko ustawione na białym śniegu. Ostro i czysto rysowały się krawędzie czerwonych dachów i żółtawych ścian pociętych belkowaniem „pruskiego muru“. Krzyżał rozgłosnie kogut na kupie dymiącego nawozu, z rynien szeleszcząc opadały sople.

W tym pejzażu zawierającym zapowiedź wszystkiego dobrego siedział kondukt pogrzebowy. Czarny tłum lu-

dzi z odkrytymi głowami sunął wolno polem. Ludzie brnęli w śniegu oblepiającym buty. Trumna nad ich głowami kołysała się. Wiatr nie miał tyle siły, aby dźwignąć mięsistą, czerwoną materię partyjnego sztandaru.

Towarzysze z miasteczka odprowadzili trumnę z ciałem poległego komendanta UB tylko do samochodu oczekującego przed Urzędem Bezpieczeństwa. Szofer sprawdził zamocowanie smutnego ładunku i niezdecydowanie ujął za klamkę drzwi wiodących do kabiny. Po chwili sprężył się w postawie zasadniczej, ponieważ ludzie zaczęli śpiewać „Międzynarodówkę“. Śpiew rozpoczął wysoki, tegi mężczyzna o mięsistej, porowatej twarzy. Stał mocno, wparł w ziemię nogi w grubych wojskowych butach i zacisnął w pięści czapkę. Stałem opodal i patrzyłem mu w twarz wznieśloną ku górze. Zaintonował pieśń pełnym, głębokim głosem, nie tak jak to czynią ludzie słabi, którzy popiskują niepewni, czy pieśń zostanie podjęta. Ja wiem, że on nie oglądał w tej chwili pojedynczych przedmiotów, ja wiem, że on widział cały ten czarno-biały kraj lasów i jezior, gdzie w trzecim roku istnienia wolność krwawiła jak zorza poranna.

Rychło podchwycili hymn głosy poszukujące właś-



ciwej tonacji, a później pieśń popłynęła zgodnie i mocno.

— Widzieliście tego bandziora? — mówił człowiek w wojskowych butach, sekretarz Komitetu Powiatowego Partii. — No, czy widzieliście... Mówili: „Michałko“ chodzi, „Michałko“ zabił, „Michałko“ spalił to albo to, „Michałko“ napadł, „Michałko“ znów chodzi. Strzelałem do niego raz na dukcie leśnym, chybiłem i nawet nie myślałem, że to on. Myślałem, watażka. Myślałem, jeździ pewno na dobrym koniu suto odziany, odkarmiony, pod kozuszką ryngraf z Matką Boską, krzyczy basem na swoich kompanów. A to patrzcie — lachudra, ostatnia wywłoka. Jak go na drodze spotkasz to pomyślisz: biednie żyje ten człowiek. Z życiem nie umie sobie poradzić. Taka wywłoka. I patrzcie — komendanta, takiego człowieka zabił. Nieprędko tu taki towarzysz się znajdzie. Zupełnie jakby go szczur zagryzł, głodny szczur — tak to wygląda, a nie inaczej.

— Sam chodził? — spytałem.

— Nie. Miał bandę. Kiedy szli na rabunek, wciągali na gęby pończochy z wyciętymi otworami do patrzenia. Różnych miał ludzi, byli i gospodarujący chłopcy, co im lekki chleb nie śmierdział. Legalny człowiek, gospodarzy, ma rodzinę, a kiedy zawoła go „Michałko“, już tatulo z synkiem wyciągają spod słomy automaty i pakują do worków. Hajda w las, pończochy na gęby naciągną i bąbrzą się w ludzkiej krwi, mimochodem las podpalą, aby nas przy ogniu zatrudnić, a sami grabią. Korzonki on tu jeszcze zostawił jak ta georginia. Trza będzie karczować latami...

— A Koral? — spytałem. — Kto to taki?

— Pytacie o młodego czy o stryjka, co go powiesili na wierzbie, koło Tajemniczego Miotu? Bo było dwóch. Stary, to był nasz człowiek. Trzeba o nim powiedzieć: komunista. Robotę znał. Organizował spółdzielnię rybacką. Wiecie, taką prawdziwą spółdzielnię, bo rozmaite trzeba wam wiedzieć są te spółdzielnie... tak... — fachowiec był dużej klasy. Na wędzeniu się znał, łodownię postawił jak piorun jasny. Zarybianie... to, tamto... Ze szczupaków to tę ikrę jak pastę do zębów wyciskał. Poleje mleczem i zatapia na takim wiecie materacu z jedliny na płytkiej nasłonecznionej wodzie.

Ani się nie obejrzyysz, a tu setki tysięcy maleńkich szczupaczków z olbrzymimi pęcherzami zamiast brzuszków kręcą się wśród tego materaca. A stary Koral mruczy nad wodą, fajkę pyka. Zadowolony. Fajkę palił niemieckim zwyczajem, choć mówił tylko po polsku. „Nie te czasy, kumie Konkol — mawiał do swojego kumpła — żeby ja po niemiecku gadał. Nie muszę to i nie gadam“. Dla partii to było szczere złoto a nie człowiek, bo on był tutejszy. „Michałko“ wiedział, gdzie uderzyć. Młody pozostał sam. Zbili go i tak został, chudzi na... kuli im szkoda było...

Przyszedł i prosił o broń. Mówię: do ORMO musisz należeć, wtedy ci broń damy, a ty jej z ręki nie puszczaj, bo cię stukną jak swojego. Dobry chłopiec... do szkół go trzeba posłać. Niech się uczy na ichtiologa. Mało ich tu potrzeba?

Nazajutrz złożyłem wizytę nadleśniczemu. Mieszkał w obszernej domu położonym opodal szosy w odległości dwóch kilometrów od miasteczka. Zastukałem mosiężną kołatką lekko i ostrożnie, ponieważ miałem po raz pierwszy w życiu do czynienia z tym przysządem, chrząknąłem, przestąpiłem z nogi na nogę, stuknąłem intensywnie. Nadeszła służąca klapiąc tak zwanymi „loczkami“ i wystawiła głowę na zewnątrz jak kuna wyglądająca z dziupli.

Przedpokój był tego rodzaju, że pożałowałem, iż nie mam karty wizytowej. A świetlica, która nastąpiła po przedpokoju, wzmogła we mnie ów żal za wizytową kartą. Nie było to wnętrza zawałone nachalnym bogactwem tkanin i sprzętów, znamionującym zły smak filistrów; było to wnętrza chłodne w swoim dostojności, usztywniające jak krochmal. Podłoga świetlicy ułożona była z dużych polnych kamieni sciosanych na płask i zespolonych żyłami szarego cementu. Była szlachetność już w tych kamieniach, które przecież niósł jako swą denną morenę ten sam łodowiec, co pozostawił po sobie jeziora tutejsze. Podłogę zalegały grube, kudłate skóry zimowych dzików. Stał tam ciężki, dębowy stół, który byłby godny „Ostatniej wieczerzy“. Na kominie nie ozdobionym rzeźbami, w obszernej i jak należy zakopconej niszy, płonęły cztery wielkie, sosnowe polana. Refleksy światła le-

ciutko figlowały na wypukłościach dobrej snycerskiej roboty, pokrywającej powierzchnię cynowych talerzy zdobitych okap komina.

Zapadłem się w fotel i błdziłem wzrokiem po ścianach zabudowanych ciemną boazerią dębową. Wisiały tam wieniec jeleni opatrzone tabliczkami „Jan Pawełski. Nadleśnictwo N. rok 1946. Strzał czysty. Pociśk „H“. Odległość 150 metrów“.

Pojawił się gospodarz. Miał „dobre wejście“. Był wysoki i siwy. Nad wąsami zwieszonymi w dół po sarmacku i podkręconymi półkoliście sterczał mu z twarzy krzywy, mocny nos, spod bogatych brwi patrzyły z łodowatym spokojem szare, beznamiętne oczy. Były to oczy myśliwego, który nie potrzebuje strzelać nimi na lewo i prawo, aby wszystko widzieć. Wymieniliśmy ukłony i nazwiska, a miało to posmak i sens salutu admirałskiego dwóch pancerników.

Później prosił siadać i podał mi puzdro z tytoniem. Czarny cygarowy tytoń pachniał ostro ziemią i pieprzem.

— Jeśli pan nie kręci, proszę, oto gotowe papierozy — podsunął mi paczuszkę papierosów „Pali-Mali“. Sam wprawnym ruchem wziął tego skręta, obsadził go w bursztynowej cygarnicy i zapalił ze smakiem. Skrzął swoje suche, długie nogi w czarnych, lśniących butach, zdjął ze swych zielonych bryczesów okrych tytoniu i śledząc za mym spojrzeniem (a patrzyłem znów na wieniec jeleni) spytał:

— Pan poluje? Interesują pana moje jelenie?

— Nie, nie — powiedziałem. — Ja tu w sprawie porarów lasów.

— Ach tak, telefonowano do mnie z Okręgowej Dyrekcji — potarł w zamyśleniu czoło. — „Tak, tak... lasy płonęły u nas, ale jeśli pan szuka w tym sensacji czy nadzwyczajności zawiode pana zapewne. Źródło szkód leży w ciemnocie ludzkiej. Jest dzisiaj zwyczaj, wie pan, doszukiwać się we wszystkim przejawów świadomej wrożej działalności. Stwarza się atmosferę nieufności, uczy się ludzi patrzeć spode łba... Nie stosuje się prostych środków zapobiegawczych, a później w obliczu szkód wyrządzonych gorączkowo poszukujemy wroga... jeśli go nie znajdzie — ja jestem wrogiem. Proszę mi wierzyć, że to mnie poniża, nie przywykłem



do roli, którą mi się narzuca. Jestem fachowcem i bardzo miłuję knieję... gdyby nie to ostatnie, proszę mi wierzyć, dawno bym odszedł...

Niech mi pan daruje ten osobisty wtór do rozmowy. Jestem rozgoryczony. Czy wie pan, co jest w moim rejonie główną przyczyną pożarów? — palenie łąk. Osadnicy palą łąki, kiedy zdziczałe obejmują na własność. Popiół spalonych traw użyźnia ziemię, rodzi w roku następnym piękną trawę, a ogień przetrzuca się na lasy i niszczy setki hektarów drzewostanu. Oto wróg — ciemnota i sobkostwo ludzkie...

Później mówił długo o rodzajach ognia, o ogniu „górnym“, który gna wierzchołkami drzew, buszuje wśród koron, trawi igły i liście.

— „Chlorofil niszczy — mówił — drzewo przestaje chłonać węgiel. Jest to coś w rodzaju uduszenia. Drzewo zostaje uduszone...

Mówił o ogniu „dolnym“, idącym po wrzosach i jeżynach. Ten miał być łagodniejszy, o ile zdarzył się w lesie wysokopiennym, a nie wśród kwartałów młodnika.

Ani nawet nie potrącając o moją wyobraźnię, stukali mi w uszach fachowe terminy i cyfry statystyk. Mojej wyobraźni pomagał ogień na kominie. wiśniowy płomień na sosnowych bierwionkach, ociekających smolnymi łzami.

Wyobrażałem sobie ryczące rzeki złotego ognia, pochłaniające las i liście zwiłające się pod tchnieniem gorącego wichru w czarne tułki, paniczną ucieczkę zwierząt; ludzi walczących wręcz z falami nieuchwytnych płomieni. Widziałem ludzi o wyjedzonych dymem oczach, biegnących za pługami, które klusem zarywały wrzos na duktach, ludzi, którzy wśród żaru nie nadążali się pocić, ryjących łopatami oporny grunt leśny zespolony siecią korzeni.

Istnieje w tych rejonach także jeszcze jedno dodatkowe niebezpieczeństwo — ciągnął mój rozmówca. — Armia niemiecka (o wojskach hitlerowskich mówił „armia niemiecka“, o Armii Radzieckiej mówił „sowieci“) pozostawiła tutaj bardzo dobrze zamaskowane składy z amunicją artyleryjską. Bywa, że ogień rozładowuje te składy...

— Czy znany jest panu chłopiec nazwiskiem Koral, Romek Koral? — spytałem. — Ponoć wybitnie odznaczył się w walkach z pożarami.

Leśnik uśmiechnął się i wypił łyk herbaty, którą przyniosła nam podobna do kuny służąca. Szklanki z herbatą wstawione były w srebrne, ażurowe czareczki z wygodnymi uchwytyami.

— Proszę — powiedział — opowiadano panu o nim. Koła fortuny toczą się równie szybko w naszym biednym kraju jak koła historii. Chłopak zyskał sławę. Szybko zyskuje się sławę i jej pochodne w naszym biednym kraju i równie szybko i równie przypadkowo można zostać unicestwionym. Psychologicznie — rzecz jest ciekawa. Jego życiem wzgardzili ludzie, którzy zabili starego Korala. Myślę, że pogarda ta zapadła mu w serce głęboko. Chłopak szuka rekompensaty, aby samego siebie podnieść we własnych oczach. Być może, przesadzam w subtelności. Być może on pragnie wykazać po prostu gorliwą lojalność dlatego, że jest autoktonem. Druga wersja wydaje mi się prawdziwsza, skoro mówimy o źródłach odwagi.

— Ale odwaga była? — spytałem.

Skinął nieznacznie głową i powiedział po chwili:

— Mnie trudno oceniać. Brak odwagi przywykłem, w odniesieniu do mężczyzn, uważać za rzecz tak niegodną jak weneryczna choroba...

Odprowadził mnie na ganek i mówiąc zwykłe grzeczności uściśnął mi dłoń twardymi, suchymi palcami.

Nocowałem w hoteliku nad knajpą „Stokrotka“. W nocy obudzili mnie dwaj milicjanci, którzy sprawdzali dokumenty. Poruszali się wolno rozprężeni ciepłem wnętrza, przyszli bowiem z mroźnej nocy. Przeprosili sennymi głosami, wyszli, poczapali z nimi zasypiającego na stojąco gospodarza w brudnym, watowanym szlafro-

ku. Wybili mnie ze snu. Długo później słuchałem odgłosów dochodzących zza ściany domu. W oddaleniu ćwierkała monotonnie jak świerszcz pracująca na wszystkich zmiany tutejsza fabryka dykty i klepek parkietowych.

W kilka dni później spotkałem młodego Korala. Jechałem doń po ostatnim śniegu wiosennym w 48 roku. Mijałem połacie borów wypalonych ze szczerem. Czarne pnie sterczały ze śniegu jak maszty zatopionej pod lodem floty, jeżyły się czarne, zabite ogniem młodniki. Na nic nie przydatne były te wątlutkie nadpalone tyczki, jakie pozostały z tysięcy pnących się szybko ku niebu młodych sosen. Można było nimi teraz zagrozić wybieg dla gęsi, i to niepewnie.

Kute płozy sań rżnęły się w wilgotnej, rozjeżdżonej kaszy śniegowej na drodze. Konie szarpały uprzężą, zdenerwowane pracowały nierówno. W koronach przydrożnych topoli, nagich jeszcze, krzątały się zgoła po wiosennemu gawrony.

Osada, w której chłopiec mieszkał, położona była nad kanałem łączącym dwa jeziora. Kanał grodziły stare, drewniane śluzy, zmurzałe i zarośnięte mchem. Stały tam szopy otwarte na wszystkie wiatry, w śniegu nad brzegiem jeziora leżał na boku jak śnięta ryba biały kadłub jachtu. Miasteczko zniszczone zostało w połowie. Przeszła przez nie wojna, przeszli szabrownicy, nie ci wielcy od dywanów i maszyn, ale skromniejsi, ci od pieców, drzwi i gratów domowych. Niewesołe to było miasteczko. Dopiero na drugim jego końcu sterczał w pogodnym niebie słup tłustego dymu. To kopcila Korala wędzarnia, szykując rybę złowioną pod lodem przez Konkola i kumplów. Ponieważ tylko ten słup dymu znamionował życie, w jego stronę podążylem ulicą wśród przyluszczonej ciężkim, mokrym śniegiem ruin domów i zabudowań gospodarczych.

Wtedy na drodze spotkałem widok, który miał posmak hałucynacji. Na schodkach, wiodących do drzwi wyszabrowanego ze szczerem domostwa, stał rogacz. Był to młody sarniak z pierwszymi w jego życiu małenkimi różkami, których nie zaczął jeszcze wycierać z mechatego szapu. Zgrabne zwierzątko o kusym, poddartym zadku, przywodzącym na myśl młodego diabełka, wytknęło w moją stronę szpiczastą mordkę i weszło, nastawiając jednocześnie konchy wielkich uszu. Zatrzymałem się bez ruchu. Kozioł stuknął gniewnie raciczką, zatupał niecierpliwie.

— „Co ci się stało Maciek? — dobiegł z głębi domu ochrypły trochę tenor. W ślad za głosem wyszedł z wnętrza młody chłopiec w welwetowej kurtce wdzianej na babski serdak kożuszany i w czapce narciarskiej. W prawej dłoni trzymał automat, a w lewej licznik elektryczny.

— To jest pewno on — pomyślałem. — Ktokolwiek inny miałby automat przewieszony przez plecy.

Z polecenia gminy Koral zdejmował liczniki elektryczne w zniszczonych domach. Miał ich już kilka na małych saneczkach. Chwycił sznur sanek i dalej szliśmy już razem. Rogacz podążył za chłopcem jak pies.

— Trochę nawet mi on i przeszkadza — mówił Koral. — Pociesznie to wygląda, kiedy tak wszędzie chodzi za mną. Ludzie dziwią się i patrzą na mnie zaraz jakoś inaczej dopóki nie przywykną. On też się ludzi nie lęka, a ja boję się, że kiedy on pójdzie do lasu, to go bodaj kosa ktoś zakłuje. A i tak pójdzie. Pójdiesz Maciek, co? Pójdiesz, pójdiesz, niech tylko kozy zaczną poświsztować latem, poniesie cię, bracie, nie usiedzisz... Las się palił, wiecie, i ogień nie szedł ławą, tylko półkolem. Dwa skrzydła się bokami do przodu wyrwały, a środkiem on natrafił na bagna i trochę tam zakłęsnął. Sarna z małym pozostała w środku tego zakłęśnięcia. Za długo dosiedziała i później musiała biegać zygakiem od jednej ściany ognia do drugiej. Była osmalona kiedy wypadła na linię przeciwpożarową. A tu ludzie krzyczą, wymachują gasidlami, piachem syją. Ogień szedł dołem nie taki znów straszny, powietrze było ciężkie tego dnia jakby dusiło go trochę. Sarna zgłupiała do reszty. A ludzie, jak ludzie, rozczapierają ręce, chcą łapać. Wreszcie wyrwała się i w całym pędzie biegła na oślep. Trachnęła w pień dębu łbem i została. A ja wziąłem Macia z sobą i wychowałem, i nawet dobrze, bo byłem sam... Teraz latem pożegnaliśmy się, bo on pójdzie w las, a ja do miasta na kurs przygotowawczy. To będzie dobre, nie?

Ostatnie zdanie zgryźnęło nieprzyjemnym wspomnieniem. Pewien podoficer Wehrmachtu, który sprządał mi papierosy w czasie okupacji, a czynił to z takimi szykanami jakby chodziło o kokainę, otóż ów Niemiec co drugie zdanie kończył beczącym, owczym „neee“.

— A nadleśniczy pozwolił wam wziąć sarniaka?

— Nie pytałem o zgodę. Ja z nim w ogóle niewiele mówię. To nie jest nasz człowiek — powiedział Koral i osłupiał mnie sformułowaniem, którym niekiedy partyjniacy określają ludzi, pragnąc uniknąć długiego charakteryzowania.

— Jest jakiś zimny ten nadleśniczy — powiedziałem.

Z kolei Koral zerknął na mnie z uwagą.

— Stary Konkol mówi o nadleśniczym, że za nim wlecze się jakaś długa, smutna sprawa, że to jest niemożliwe, żeby on był taki jaki jest, gdyby miał proste życie.

Dobrześliśmy do miejscowego posterunku M.O.

— Mieszkam tu od podwórka na fajcie — powiedział chłopiec. — Zajdźcie po południu, teraz muszę zdać w gminie liczniki.

Poszedł dalej białą ulicą. Przygarbiony ciągnął swoje sanki, za którymi baletowym kroczkiem podążał rogaczek zwany Mackiem.

Komendant posterunku — wielkie czarne chłopisko, kudłate i krzykliwe — natarł na mnie gwałtownie zaraz po moich pierwszych pytaniach.

— Co wy w ogóle wiecie o ludziach — mówił, gestykulując. — A kto ma się nim zająć wedle was? Ksiądz? Kawalka chleba mamy mu żałować. Przecież pracuje. Jak pracuje! Dawniej to ja myślałem: co to za praca ta nauka. Ot, siedzisz nad książką, czytasz, a muchy ci koło uszu bzykają. Ja widzę, jak on ryje w tej nauce, traktor nie człowiek. Antoni — powiada do mnie — Antoni, albo mi łeb trzaśnie, albo zdam egzaminy. Wy wiecie, że on trzy lata temu ledwo po polsku mówił? Czytał na głos ludziom książki. „Faraona“ ostatnio czytaliśmy — tu sięgnął do tytu i nie patrząc za siebie, wziął z półki wysłużoną książkę. Prasnął w nią dłońią i powiedział: — Też, znaczy, człowieka klechy zamęczyły. Niezła rzecz.

Wieczorem Koral mówił:

— Będę leśnikiem...

— Sekretarz — wtrąciłem — mówił o ichtiologii.

— Toteż wy jemu nic o tym nie mówcie. On teraz tylko: ryba. Kiedy ruszył tartak, i fabryka parkietów, i wyrab, i żywicowanie, on odsapnął i wziął się za ryby. Stryja nachodził. Powiada: „Naucz mnie szczupaki macać, Franciszku“. Kiedy niedawno byłem w powiecie i odwiedziłem go, siedział w domu i czytał broszurę. Czyta i pot ociera. Myślałem, że ma kłopoty i szuka porady u Lenina. Zamknął broszurę, a ja czytam tytuł: „Leszcz — hodowla i odłów“. Mnie potrzebny naukowiec od ryb — mówi — jeśli chodzi o gospodarke leśną, to będziemy w naszego hrabiego robić dokąd się da. Ale — mówi — w tych jeziorach ja czuję moim nosem złotą żyłę. To jest bogactwo. Ja te jeziora jak cytrynę będę wyciskał. One muszą dać to, co mogą.

Nigdy nie myślałem, że woda może także ugorować — tak mówił. Ale ja pójde na leśnictwo... — powiedział Koral, zamyslił się i dodał po chwili: jeziora nie płoną.

Powracałem do powiatowego miasteczka nocą. Szumiało w lasach po obu stronach drogi. Dął wiatr, kaszę śniegową ściał przymrozek.

— Zelżeje — mówił człowiek powożący końmi. — Zelżeje jutro koło południa. Słońce chodzi coraz wyżej, już cno sobie poradzi.

Tak oto, prawie przypadkowo, minąłem na swej drodze wiosną roku 1948 człowieka nazwiskiem Koral. Minęło akuratnie sto lat od Wiosny Ludów. Koral — myślałem — tak nazywają piękny krzew morski. Na Oceanie Spokojnym powstają archipelagi wysp koralowych. W ciągu tysięcy lat ów piękny krzew o czerwonych gałązkach, z których robi się także ozdoby i naszyjniki, buduje wyspę. Nawarstwiają się miliony pokoleń koralu walczących z cyklonami

Pacyfiku i wreszcie któreś z pokoleń osiąga powierchnię wód i zaczyna rodzić nowe, nieznane dotąd rośliny.

Powstają zaciszne atole, gdzie w kryształowo-przejrzystej wodzie krąży ryba o tak pięknych barwach, że nigdy najtęższym mistrzom koloru nie przyszłoby do głowy, by tak skojarzyć ze sobą barwy, a potrafią to jedynie dzieci. Kołyszą się na dnie atoli łany tęczy ukwiałów. Na brzegach strzelają w niebo palmy. Z wilgoci oceanów, z dobroci słońca rodzi się bujne wszechwycięskie życie.

Dla tej rośliny, o kolorze tak zbliżonym do koloru krwi ludzkiej, żywie przyjaźń za jej cierpliwą odwagę w walce z tępym żywiołem, walkę zwycięską.

Powiecie, że metafora jest chybiona, że losy pokoleń tych ludzi, których nazwano ludźmi dobrej woli, są nieporównywalne do losów rośliny bezmyślnej przecież, nic nie czującej, nie przeżywającej ani potężnych wzlotów myśli i uczuć, ani tragedii. Ale cóż my wiemy o tragediach roślin? Wiemy jedynie, że istnieją. Jeśli nie wierzyć wyobraźcie sobie płonący las...



DZIELNY KRAWCZYK



1953

Napisał: LUCJAN WOLANOWSKI

Zdjęcia: W. PRAŻUCH

AWIĘC, kochane dzieci, opowiem Wam dziś bajkę o Dzielnym Krawczyku.

— Ależ babciu, babciu, przecież to jest bajka braci Grimm, przecież nam nie należy opowiadać takich sadystycznych, niezdrowych bajek!

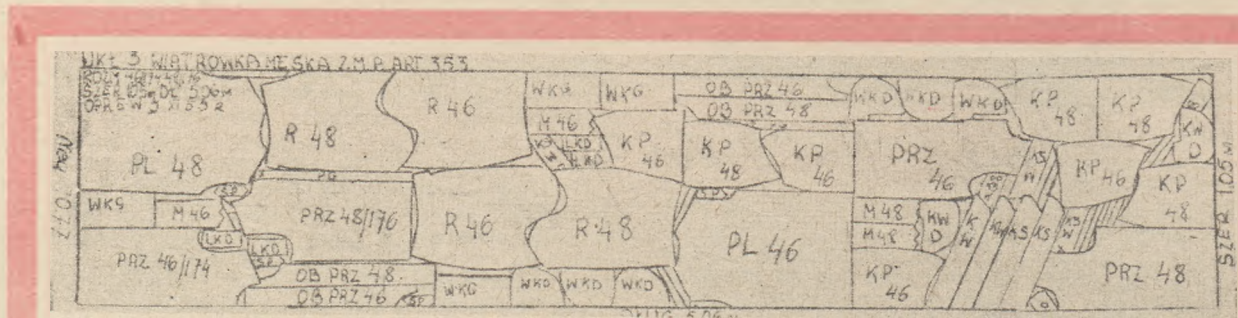
— Przygody Dzielnego Krawczyka, które chcę Wam dziś opowiedzieć, nie mają nic z sadyzmu; rzecz dzieje się zimą roku 1953, a więc postacie z bajek Grimma uległy głębokim przeobrażeniom. „Żabi Król” został więc przez Centralę „LAS” wyeksportowany za dewizy do Francji i tam zjedzony. „Muzykanci z Bremy” grają teraz boogie-woogie oraz parademarsze, „Śpiąca Królewna” zatrudniona została w biurze przepustek, zaś „Dzielny Krawczyk”, zadziwiony jakością odzieży gotowej, postanowił — zgodnie ze swymi zawodowymi zainteresowaniami — dojść do źródeł jej wzorów. Jak pamiętacie, Dzielny Krawczyk zabił za jednym zamachem siedem much i przeto uważał się za najmocniejszego człowieka świata. Dzielny Krawczyk w roku 1953 postanowił zgłębić siedem problemów odzieży produkowanej fabrycznie, gdyż...

— A co go tak zadziwiło?

— Zaraz, zaraz, drogie dzieci. Otóż trzeba Wam wiedzieć, że glistę jest znacznie łatwiej ubrać niż kobietę. Glista ma bowiem, że tak rzeknę, wprost idealną figurę; może ubierać się choćby w pokrowiec, jak parasolka. Znacznie trudniej jest ubrać kobietę. Kobieta ma bowiem różne okągłości figury, które — jakkolwiek wielbione i opiewane przez poetów — znacznie utrudniają sporządzenie dla niej godnych szatek. Otóż nasz Dzielny Krawczyk chciał nabyć dla swej bogdanki piękny kostium tzw. francuskiego kroju, starannie uszyty z dobrej, 80% wełny przez Warszawskie Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. „Obrońców Warszawy”. Już pobeżna obserwacja pozwoli Wam, drogie dzieci, na stwierdzenie faktu, że kobieta ma biust. O tym istotnym fakcie zapomnieli projektanci tego kostiumu, który wskutek tego, w cztery lata od wyprodukowania, tuła się jeszcze po różnych magazynach i składach. Fachowcy odzieżowi w Łodzi twierdzą, iż jest on szyty — no, które z Was zgadnie?

— Na glistę!

— Właśnie, właśnie. Tak się ci ludzie wyrażają. Dzielny Krawczyk nie mógł, niestety, ustalić w warszawskiej fabryce osoby projektodawcy; jedni mówili „to tak dawno było” — inni po prostu „nie pamiętamy”. Ale w Centrali Odzieżowej w Łodzi pamięć o tym kostiumie jest ciągle żywa — tym bardziej, że WZPO od



Nie, nie — to nie jest łamięłówka! To po prostu wzór na wiatrówkę, opracowany przez Centralne Laboratorium Przemysłu Odzież. w Łodzi. Przeczytajcie w reportażu o wielkim znaczeniu rozwiązywania takich „układanek”.

czasu do czasu przypomina się hurtownikom, np. nadsyłając im piękne flanelowe spodnie, obszyte różową tasiemką. Jest to piękny wzór dla aniołka, ale nie dla obywateli w kwiecie wieku. Dzielny Krawczyk cierpiał też bardzo — wprost krajało się jego dzielne, krawieckie serce — kiedy widział, jak odzież jest przewożona i magazynowana. Po prostu pięknie odprasowane w fabrykach ubrania wiąże się sznurkiem w pęczki jak pietruszkę i zwałone na kupę ładuje na samochody. Gdyby ubrania wisiały na wieszakach, to samochód (są takie specjalne wozy, odzież jeździ nimi na kiermasze) musiałby obrócić kilka razy. Tak, jedzie raz, ale za to...

— Ubranie wygląda jak wyciągnięte psu z gardła!

— Otóż to! Fachowcy twierdzą, że niedbałe pakowanie, przewożenie i magazynowanie pozbawia odzież 30% jej wartości. Mówią też, że takie pomięte ubranie nie zachęca klienta do kupna — trzeba mieć bujną fantazję, aby je sobie wyobrazić w stanie używalnym. Już jest przyciasno w wielkim, nowoczesnym magazynie w Łodzi — a co dopiero mówić o Krakowie czy Lublinie, gdzie powierzchnia magazynów jest dziesięciokrotnie mniejsza od potrzebnej. Tworzą się tam całe hałdy odzieży; już tylko najstarsi ludzie pamiętają, co leży na dnie tych stosów: kiedy się ktoś tam dokopie do dna, mogą wyjść na światło dzienne prawdziwe rewelacje, nie ustępujące wykopaliskom biskupińskim. Wartość tych hałd odzieży, nie sprzedanej wskutek błędów wykonania, nieudanego wzoru czy innych przyczyn, ocenia się już na miliardy złotych.

— Babciu, ale przecież to bardzo trudno szyć odzież dla klienta, którego się nigdy nie ogląda.

— Tak, Dzielny Krawczyk zawędrował więc do Centralnego Laboratorium Przemysłu Odzieżowego w Łodzi, gdzie dowiedział się od dyrektora inż. Stanisława Leszczyńskiego ciekawych szczegółów tej walki o jakość, jaka toczy się w tej chwili na szerokim froncie w Polsce. Tradycje przemysłu odzieżowego są u nas nikłe — Polacy najchętniej ubierali się na miarę — ci, których było na to stać. Brak nam więc ogólnych danych, jakie ma do dyspozycji przemysł odzieżowy w wielu krajach; po prostu brak nam danych, jak jest zbudowany przeciętny Polak czy Polka. Planuje się przeto wzięcie miary z... 350.000 ludzi, pracujących w różnych zawodach na terenie różnych dzielnic kraju. Okazuje się bowiem, że byt określa nie tylko świadomość, ale i figurę — kaszubski rybak jest inaczej zbudowany niż śląski górnik. Ustali się kilkanaście najbardziej rozpowszechnionych typów ludzi i wtedy każdy, normalnie zbudowany człowiek, znajdzie bez trudu ubranie, które będzie „jak ulał”. Dzielny Krawczyk ucieszył się bardzo, że tak poważnie podchodzi się do tej niezmiernie ważnej sprawy — prace wstępne przeprowadzili najwybitniejsi uczeni-antropolodzy polscy, a m. in. prof. Czekanowski.

— Babciu, a co w ogóle robią w takim laboratorium odzieżowym?

— Wiele ciekawych rzeczy. Na przykład bawią się w układanki.



Oto jest gehenna jednego ubrania! Opakowanie w papier w Warszawskich Zakładach Przemysłu Odzieżowego jest nie wystarczające, skoro do magazynów w



Łodzi ubrania dochodzą już tylko powiązane sznurkiem w pęczki jak pietruszka! Odzież nie wszędzie jest rozwieszana, lecz składana w stosy. Magazyny w Lublinie



i Krakowie są. dziesięciokrotnie za małe. Fachowcy twierdzą, że wskutek wadliwego pakowania, transportu i magazynowania odzież traci do 30% wartości.



BALLADA O ZBÓJNIKU ONDRASZKU KTÓRY ŚWIAT RÓWNAŁ

HIERONIM MICHALSKI

NOWA powieść Gustawa Morcinka „Ondraszek” (*), będąca wyprawą w odległą przeszłość, nie jest niespodzianką, chociaż niewątpliwie odbija od tła dorobku pisarza, który zawsze był wierny współczesności. Autor zajmował się tym tematem już przed kilkunastu laty, ogłaszając wtedy w piśmie wstępne fragmenty opracowania dziejów opromienionego legendą zbójnika śląskiego.

„Wyrosłem w kręgu owej legendy — wyznaje autor w przedmowie. — Matka moja, pracująca na szybie „Jana” w Karwinie jako tak zwana grabuła, po powrocie z pracy, wieczorem, siadała na łydlu i snuła przedświatne wspominki o hyrnym zbójniku Ondraszku, który świat równał, o społeczną sprawiedliwość wojował, brał bogatym i rozdawał ubogim. W opowieściach tych mieścił się cały świat tęsknoty śląskiego otrocka, pragnącego wyzwolić się z pańskiej ciężoby i niewoli. Matka moja przejęła ową tęsknotę, w spuściznie od swych dziadów i pradziadów i przekazywała mnie, kilkuletniemu synkowi, z nieujawnionym pragnieniem, bym i ja przekazał ją potomnym”.

Powieść, do której pomysł pisarz wrócił po latach, napisana została właśnie, żeby „legendę śląską o zbójnickiej swobodzie i chłopskiej tęsknocie za wolnością przekazać ludziom, którzy o tych sprawach mało wiedzą”. Otrzymaliśmy utwór ciekawy i oryginalny, podbijający sugestią obrazów i opisów, budzący uwagę ambicją zamierzeń pisarskich w rozwiązaniu ideowo-artystycznym wcale nie tak łatwego, jakby się na pozór zdawało, tematu.

Morcinek mianowicie podjął legendę niejako w podobny sposób, jak robili nawiązujący do pieśni gminnej romantyczni balladopisarze. Opracowanie podania o Ondraszku zachowało nie tylko przekazane wątki, ale i cały zasób związanych z nimi wyobrażeń ludowych pełnych cudowności i fantastyki. Stąd właśnie bierze się swoisty klimat utworu odczuwany od samego początku, kiedy czytamy, jak to rodzice Ondraszka bezskutecznie wyczekiwali dziecka i jak wreszcie po daremnych modłach i ofiarach ojciec wybrał się w trzecią noc po nowiu na rozstaje, zakreślił koło ludzkim piszczelem i wypowiedział tajemne zaklęcia, a przybyły z wichrem i błyskawicami Zły duch przyrzekł mu syna; w noc zaś Ondraszkowych narodzin, jak ludzie potem opowiadali, działy się dziwne i ukazywały najróżniejsze znaki. Nie ma wątpliwości, obcujemy z typowymi wyobrażeniami baśniowymi.

Warto nadmienić, że możliwości pisarskie pozwalały na odtworzenie dziejów zbójnika bez wprowadzenia w powieść tych wszystkich elementów baśni, którymi lud w ciągu wieków opłótł jego postać, wykraczając poza ramy danych historycznych, wyofabrykując i przeinaczając fakty, wymyślając coraz to nowe i niezwykłe w szczegółach wątki. Istnienie bowiem Ondraszka, czyli Andrzeja Szabestya, syna dziedzicznego wójta z Janowic koło Frydka, potwierdzają akta i zapiski kronikarskie. Żył w latach 1680—1715 i obejmował zbójnikowaniem Beskidy śląskie, Żywiecczyznę i Krakowskie, wschodnie Morawy i północno-zachodnią Słowaczczyznę.

Dlaczego zatem autor nie odrzucił legendy z jej osobliwościami, lecz przeciwnie, zadał sobie niemały trud, aby jak najpełniej wykorzystać ją jako tworzywo powieści? — W takim podejściu do tematu widać czujną i trafną intuicję.

Zastanówmy się bowiem, czymże byłby Ondraszek оголоzony z tego wszystkiego, w co przystroić go podanie, czymże byłoby jego dzieje opowiadane bez kolorytu klechdy ludowej? Zbójnik,

nawet taki, który daje się we znaki panom, nie jest najwłaściwszym kandydatem na bohatera powieści historycznej. Historia przecież znała w tych samych czasach prawdziwych bohaterów walki o sprawiedliwość, wysuwających się na czoło mas ludowych w buntach i powstaniach chłopskich. I tylko legenda, ten przekazany w tradycji ustnej dokument twórczości ludowej z czasów feudalizmu, utrwalający stopień nie rozwiniętej jeszcze świadomości, zdolna jest w pewnej mierze nadać rację bytu zbójnikowi w roli obrońcy uciśnionych i pogromcy niedobrych panów.



Morcinek zatem słusznie zachował w powieści przyrodzone i specyficzne cechy klechdy ludowej, zachowując tym samym naturalne uprawnienie tematu zbójnickiego, pełnego niewątpliwie uroków romantycznych, lecz zarazem nieco spornego w zasadniczym obrachunku. Zaznaczyć przy tym należy, że był to tylko punkt wyjścia dla pisarza, który umiał się nim posłużyć w sposób niezmiennie oryginalny i odkrywczy. „Ondraszek” jest dziełem, które, czerpiąc z źródła twórczości ludowej, nie poprzestaje bynajmniej na samym powtórzeniu, lecz szuka i znajduje możliwości rozwinięcia i przekształcenia przejętego materiału.

Stwarza to wyraźny i nieodzowny dystans wobec podania o Ondraszku i przez to otwiera możliwość zarysowania innej, właściwej już perspektywy spojrzenia na opisywane sprawy, perspektywę, w której legenda jest nie pozabawionym wprowadzicielem wzruszającego wdzięku, ale tylko składnikiem jednym z wielu ogólnego obrazu realistycznego. W ten sposób, nie uронiwszy nic ze swobodnego czaru i ciepła klechdy, pisarz uwypuklił istotny sens tkwiący w temacie.

Wyprawa w przeszłość po śladach Ondraszka dowodzi, że Morcinek w roli powieściopisarza historycznego panuje nad realiami życia z równą pewnością, co w powieści współczesnej. Autor stworzył z dużym nakładem pracy przygotowawczej tło dziejowe; otrzymujemy

dosyć szeroko rozbudowany obraz sytuacji historycznej tej części Śląska, na której rozgrywa się akcja. Przede wszystkim pociągnęły autora stosunki obyczajowe i kulturalne.

Rozmach w malowaniu atmosfery obyczajowej może być nawet przyczyną pretensji: bo właśnie przy opisie stosunków społecznych autor jest niezmiennie wstrzemięźliwy. Istotne cechy feudalizmu zarysowane są, niewątpliwie, słusznie i wyraziście, powieść pokazuje trafnie i dobitnie samowolę jaśniepańską i straszną sytuację chłopów poddanych bezlitosnemu wyzyskowi, chodzi jedynie o to, że częściej zamiast bezpośrednio wplecionego w fabułę przedstawienia sytuacji społecznej jest ona określana w gotowych już wnioskach.

To wszakże, co odczytujemy o życiu poszczególnych warstw społecznych, przemawia do czytelnika z wielką plastyką. Zabarwiony kolorystą balladowym, ale realistyczny w konturze i osadzony w epoce obraz jest osiągnięciem, które przez wyłączenie ograniczonego nieco pozaczasowej przecież w swoim charakterze legendy. Sens osiągnięcia pogłębia jeszcze sposób ukształtowania postaci Ondraszka. Autor wykazał tu wielką troskę o właściwą charakterystykę zbójnika i należyte wyprowadzenie linii rozwoju jego świadomości.

Ondraszek w swojej karierze zbójnickiej, zaczętej — myślą o pomśczeniu osobistych krzywd, powodowany współczuciem staje często w obronie uciśnionych i wyzyskiwanych, zabierając panom i rozdając ubogim. Autor jednak nie poprzestał na takiej tylko roli, jaką wyznaczyła Ondraszkowi legenda, nie odbiegając w tym właściwie od wzoru Rinalda Rinaldiniego z osławionego romansu zbójnickiego. Ondraszek u Morcinka znajduje szersze i właściwsze pole działalności.

Poruszany wołającą o pomstę nieśprawiedliwości w położeniu chłopów zaczyna rozumieć, że jego poszczególnie interwencje są czymś nazbyt doraźnym i nieskutecznym, gdyż po jego odejściu los ofiar staje się jeszcze cięższy. Doświadczając, pogłębiane wpływem plebejskiego patra Földyna, kształtując konsekwentnie dojrzewanie świadomości zbójnika. Pojmuje już, że sława hetmana zbójnickiego nie stoi w żadnym związku ze sprawą chłopską. Widzi teraz jako przykład dla siebie takie postaci, jak Chmielnicki, Kasper Pika ze Słowaczyny, Kostka-Napierski i marszałek chłopski, Łętowski, którzy potrafili porwać masy do powstania jako jedynej drogi zniesienia niesprawiedliwości.

Los jednak przeszkadza Ondraszkowi w wypełnieniu nowej roli. Powstanie bowiem, do którego chłopci się przygotowują, nie dochodzi do skutku. Jego wybuch poprzedza nagłe i gwałtowne przejście przez Śląsk „czarnej śmierci”. Wypadek ten wykorzystuje zagrożoną

klasa panująca, aby przy pomocy duchowieństwa głosić, że mór jest znakiem bożym i karą za postuch wezwaniom do buntu. Wobec dezorganizacji spowodowanej epidemią i nastrojów wywołanych dywersją duchowieństwa Ondraszek musi uchodzić na Słowaczczyznę, gdzie niebawem zostaje zamordowany przez jednego ze swoich kamratów, który zląkomił się na wyznaczoną przez cesarza austriackiego nagrodę za głowę zbójnika.

Tak wygląda zarysowany przez Morcinka kierunek przemiany, która prowadzi Ondraszka od zwyczajnego zbójnictwa do roli przywódcy wielkiego powstania chłopskiego. Autor związał legendę z historią, nasycając ukryty w niej sens marzenia o wolności siłą głębokich konfliktów społecznych i żarem rewolucyjnych dążeń do zniesienia niesprawiedliwości.

Ze względu zapewne na ten moment, który ma tak zasadnicze znaczenie w wymowie powieści, krytyka sformułowała zarzut, iż autor, zamiast wydobyć do końca tragiczność dążeń rewolucyjnych Ondraszka, jaką musiałaby mieć w warunkach historycznych nie dojrzałych jeszcze do rewolucji, uzależnił ich klęskę tylko od przypadku. Zarzut nie jest słuszny. Nie można przecież wyświadczyć, że autor ukazał los Ondraszka zgodnie z faktycznym przebiegiem. Wcale nie o los Ondraszka należy się procesować z autorem, jeżeli chce się mówić o pewnym istotnym braku koncepcji powieści, dającym odczuć swoje skutki właśnie w zakończeniu. Chodzi o to, że dola chłopów, wzbierające wśród nich niezadowolenie i rosnąca „zmowa chłopska” są w powieści widoczne niemal wyłącznie z tej tylko perspektywy, z jakiej ogląda je Ondraszek dojrzewający do zrozumienia sprawy walki o sprawiedliwość.

Jest to zaś, niestety, perspektywa bardzo zwężona. Brak wśród wątków powieści wątku, który by odsłaniał w dostatecznie szeroki sposób środowisko chłopskie, nie pozwolił autorowi spojrzeć na sprawę chłopską z perspektywy w tym wypadku najwłaściwszej, bo określonej świadomością warstwy uciskanej. Inaczej na pewno wyglądałaby wtedy sprawa powstania. Czarny mór przeszkodził jego wybuchowi w oznaczonym terminie, zamęt ułatwił zamordowanie Ondraszka, ale sytuacja, która pchała chłopów do buntu, nie uległa mimo wszystko zmianie i nastroje powstańcze musiały po przejściowym zamieszaniu odzyskiwać na sile z powrotem. Dowodem jest zanotowany przez historię fakt, że w XVIII wieku Śląsk był widownią kilkunastu buntów i powstań chłopskich. Obraz zatem, jaki rysuje Morcinek, oglądany nie tylko z perspektywy Ondraszka, ale i z perspektywy mas ludowych marzących o zrzućeniu jarzma, byłby pełniejszy i nie zachwiewałby się w swojej wymowie z powodu śmierci zbójnika.

Powieści o Ondraszku trzeba, niezależnie od tego rodzaju i innych zastrzeżeń, przyznać poważne znaczenie. Temat zbójnicki doczekał się w naszej literaturze żywego oddźwięku. Powstały utwory niewątpliwie interesujące, w słuszny na ogół sposób podkreślające sławę zbójników jako mścicieli krzywdy chłopskiej. Ale dopiero Morcinkowi udało się pokazać postać zbójnika w o wiele szerszym i istotniejszym zakresie działania, właśnie jako przywódcę rewolucyjnych mas ludowych. Trzeba przyznać, że dzięki temu Ondraszek odzyskuje rację swojej legendarnej sławy, a powieść, biorąca za punkt wyjścia materiał podania ludowego, stanowi przedłużenie życia legendy.

Ilustracje:
ZYGFRED GARDZIELEWSKI



* Gustaw Morcinek, „Ondraszek”. Sp. Wyd. „Czytelnik”. Warszawa, 1953. S. 464. Opracowanie graficzne Zygryda Gardzielewskiego.

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

BYLIŚMY W KRAJU RAD

Dwaj artyści poznaliśmy: Stanisław Wiślicki, dyrygent Państwowej Filharmonii, i so. lista Opery im. St. Moniuszki, Edmund Kossowski, niedawno powrócił do kraju po dwutygodniowym pobycie w Związku Radzieckim.

Brali oni udział w wielu koncertach i recitalach; niektóre z nich nagrało Radio Moskiewskie.

Byłem przed rokiem w Związku Radzieckim — opowiada Edmund Kossowski — razem z zespołem Opery Poznańskiej. Obecnie miło zaskoczył mnie fakt, że publiczność moskiewska pamiętała nas i po recitalu domagała się na bis z „Borysa Godunowa”, której wykonanie znano z poprzednich naszych występów.

Koncertowaliśmy w wielkiej sali im. Czajkowskiego (2.000 miejsc) i w małej sali Konserwatorium w Moskwie. Zwróciłem uwagę, że na koncerty publiczność moskiewska przychodzi ubrana w stroje wieczorowe.

Niezapomniane wrażenie wyniosłem z Rosyjskiego Muzeum i Ermitażu w Leningradzie. Oglądałem tam wiele dzieł sztuki. (Pomyślcie tylko — 50 km bieżących ścian!) Ze szczególną uwagą

studiowałem portrety i postaci historyczne oraz rzeźbę Antiochowskiego „Mefistofelesa”, jako wzory dla moich ról operowych. Toteż bardzo wdzięczny byłem kustoszowi Rosyjskiego Muzeum, który ofiarował mi reprodukcje tej rzeźby oraz kilku jeszcze obrazów.

Podczas całego pobytu w Związku Radzieckim wszędzie byliśmy przyjmowani niezwykle serdecznie. Serdeczność — to cecha, z którą spotykaliśmy się na każdym kroku.

Zbigniew Tempicki, Poznań



Edmund Kossowski — solista Opery Poznańskiej — jako Zbigniew w „Strasznym Dworze” St. Moniuszki



Stanisław Wiślicki — dyrygent Państwowej Filharmonii w Poznaniu

PRZYJACIELE Z KOREI

Kim In-su, Kim Dion-ben i Kan Rion-won uczęszczają do Technikum Weterynaryjnego w Bydgoszczy. Co prawda nie opanowali jeszcze języka polskiego, ale uczą się go wytrwale. Pomagają im nauczyciele, pomagają koleżki z klasy i współmieszkańcy z internatu. Pochylieni nad książkami, całymi godzinami uczą się z uporem powtarzając nieznane polskie słowa.

— Za pół roku — twierdzą nauczyciele — będą już mogli

swobodnie korzystać z lekcji w języku polskim. Na razie pomagają sobie trochę koreańskim, trochę rosyjskim.

Wolne chwile spędzają na boiskach sportowych. Ulubioną ich grą jest piłka nożna. A wieczorami po skończonych zajęciach przychodzą do świetlicy i opowiadają o swej pięknej, dalekiej ojczyźnie, do której powrócą dopiero za kilka lat.

Włodzimierz Karaski, Bydgoszcz
Fot. Leon Stanisławski



Pochyleni w skupieniu nad książkami...

— Baczność! W prawo patrz! — pada komenda i wszyscy głowy, jak za pościeleniem sznurka, zwracają się w jednym kierunku.

W prawo zwrot! — rozlega się trzask butów i cztery baterie udają się do sal wykładowych. Wszystko idzie szybko i sprawnie. Młodzi chłopcy w granatowych i zielonych kombinizonach zajmują miejsca w ławkach. Zaczynają się zajęcia na Studium Wojskowym.

Chłopcy w kombinizonach to studenci Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, którzy dwa razy w miesiącu odbywają ćwiczenia wojskowe.

Sluchacze Studium Wojskowego przechodzą również praktyczne przeszkolenie na miesięcznych obozach letnich. Zajęcia i ćwiczenia wymagają znacznego wysiłku, gdyż materiał, który w służbie czynnej przerabia się normalnie w ciągu roku — tu trzeba opanować w okresie miesiąca.

Studium Wojskowe trwa trzy lata. Zorganizowane jest przy wszystkich większych uczelniach wyższych i daje młodzieży możliwość odbycia służby wojskowej i zdobycia stopnia oficerskiego w czasie normalnych studiów.

R. Zawidowski, Kraków



Chwila wypoczynku

„BŁYSKAWICA” — CHWALI „BŁYSKAWICA” — GANI

Od razu rzucają się w oczy nazwiska Anny Wnuk, Antoniego Dziwoliaga i Jana Popko. Umieszczone obok tych nazwisk cyfry wskazują, że chłopcy ci, pierwsi w gromadzie, wywiązali się z obywatelskiego obowiązku dostawy zboża dla państwa.

Niżej widać karykaturę, wykonaną dość wprawną ręką, i znów kilka nazwisk: Jan Pupiec, Andrzej Skowyrta oraz Jan, Eugenia i Adam Nawroccy (cała rodzina kubańska). To ci, którzy odgają się jeszcze ze sprzedaży zboża. Kilka najświetlejszych i krótkich wiadomości z terenu gromady Obrucze (woj. lubelskie) dopełnia całość gazetki gromadzkiej t.zw. „Błyskawicy”, uka-

wionej na honorowym miejscu, na rynku w Zamościu.

Ludzie chętnie ją czytają, szukając wiadomości z życia swej wsi. Jedni z zadowoleniem i dumą odnajdują w gazetce swe nazwiska, jako przodujących w gromadzie gospodarzy, inni z lekkiem sprężeniem, czy pośród napietnowanych nie znajdują i siebie.

W ten sposób, „Błyskawice”, redagowane przez Kluby Korespondentów we wszystkich gminach i gromadach województwa lubelskiego, są skutecznym narzędziem w walce z tymi chłopami, którzy uchylają się od wypełnienia planów gospodarczych.

Tadeusz Hudecki, Lublin



Ob. Szaniawski z gromady Rudniki zadowolony jest, bo w gazetce jest mowa i o nim

OPERA NA KÓŁKACH

Tak nazywają Ślązacy Państwową Operę w Bytomiu, która odwiedza również Stalino, Chorzów, Gliwice, Bielsko, Cieszyń i Zabrze.

W ciągu ośmiu lat swego istnienia Opera w Bytomiu dała 2125 przedstawień, które obejrzało prawie 1,5 miliona widzów.

Ostatnio, z okazji swego ośmiu-lecia, wystąpiła z premierą opery komicznej D. Aubera — „Fra Diavolo”, ze Sławomirem Żerdzićkim w roli tytułowej. Operę tę reżyserował Bolesław Fotyga. Foliński, kierownictwo muzyczne objął Włodzimierz Ormicki, a dekoracje i kostiumy zaprojektował Stanisław Jarocki.

Jan Wilk, Bytom



Sławomir Żerdzićki w III akcie opery „Fra Diavolo”



Trening strzelecki

LECZYŁY NAS RÓWNIŻ KUKIEŁKI

Najpierw trzeba było napisać tekst sztuki, „satyryczno-klinicznej składanki”, potem wykonać odpowiednie kukielki, wymodelować z mokrej makulatury głowy, uszyć kostiumy. Ież było przy tym zabawy i śmiechu, jakże nieograniczone pole do popisu dla artystycznych zdolności pacjentów! Reżyseria zajął się zapałem najbardziej powołany do tego pacjent Ośrodka, aktor Igor Śmiałowski.

Przez szereg dni cały Ośrodek Kliniczny żył pod znakiem przygotowywania się przedstawienia. Chorzy „wkuwali” role w każdej wolnej chwili; podczas zabiegów, w świetlicy, przy posiłkach

wszyscy mówili o kukielkach. Premiera teatru kukielek, na którą przybyło około 300 osób, stała się w codziennym życiu Ośrodka pewnego rodzaju „wydarzeniem”. Gorąco oklaskiwano i pomysłowo kukielki, i dowcipny tekst, i przyjemny podkład muzyczny.

Pacjenci Ośrodka Klinicznego w Ciechocinku zgodnie twierdzą, że teatr kukielek, odwracając myśl od własnych dolegliwości, wnosząc śmiech i radość w sanatoryjną codzienność — jest doskonałą pomocniczą metodą terapii. Toteż polecamy ją wszystkim kuracjom naszym sanatoriów i uzdrowisk.

Monika Woźnińska, Ciechocinek



Chorzy z wykonanymi własnoręcznie kukielkami

FOTOGRAFIA NA CODZIEN OD I DO CZYTELNIKÓW

A. Lasociński ze Szczecina. Posiadacie aparat „Kine-Exacta” i pragniecie wykonywać zdjęcia przez mikroskop. Posiadany przez Was aparat, jak i wszystkie jednoobiektywowe lustrzanki, są szczególnie dogodne do tego celu. — Aparat, po wyjęciu obiektywu i założeniu pierścieni reprodukcyjnych o łącznej długości ok. 5 cm (można też skonstruować pierścień z tektury), umocowujemy nad mikroskopem w ten sposób, ażeby okular wszedł do środka pierścieni. Połączenie uszczelniamy rękawkiem z czarnego, gęstego materiału, ściągniętego z obu stron gumką lub tasiemką. Po nastawieniu ostrości na matówce wykonujemy zdjęcie. Czas naświetlania trzeba ustalić drogą praktyki. Na rysunku widzimy mikroskop wraz z aparatem ustawionym na podstawie reprodukcyjnej. Zamiast niej możemy użyć metalowego uchwytu z głowicą kulkową lub złożonego statywu.

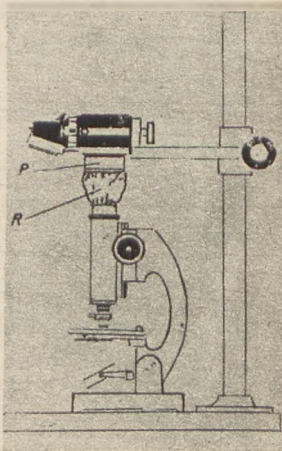
P. Zieliński. Narzekacie w swym liście, iż w zamieszkiwanej przez Was miejscowości nie możecie nabyć klisz fotograficznych 9 x 12 ani papieru chlorowego do styków. Radzimy zwrócić się do kierownictwa sklepu z prośbą o sprowadzenie potrzebnych nam materiałów fotograficznych. — Tymczasem zdjęcia stykowe możecie wykonać na papierze bromowym, należy jednak naświetlać od 10 do 30 razy krócej.

A. Kaczor (Radzyń Podlaski). Zapytujecie, czy nasze pogadanki fotograficzne będą drukowane w wydaniu książkowym. Nie umiemy jeszcze na to odpowiedzieć, gdyż jesteśmy jeszcze daleko od ujęcia całości zagadnienia fotografii amatorskiej. Na większość korespondencji fotoamatorów odpowiadamy bezpośrednio pocztą. — Filmu szerokości 32 mm do ap. „Sida” obecnie nie produkuje się.

Zdz. Zalewski, Stalowa Wola — Ap. „Altuca” posiada jedno tylko gniazdko na wtyczkę do lamp błyskowych — drugi przewód kontaktuje z izolowanym od tego gniazodka zewnętrznym pierścieniem metalowym. Połączenie baterii i żarówki błyskowej można wykonać samemu. Radzimy prób dokonywać zwykłą żaróweczką od latarki kieszonkowej, ażeby uniknąć przepalenia żarówki błyskowej wskutek wadliwego połączenia. Obszerny opis wykonania przyrządu do zapalania żarówek błyskowych zawiera Nr 4 mies. „Fotografia”.

W. H. S. K. Warszawa — Kurz osiadający na obiektywie należy delikatnie usunąć miękkim, czystym pędzlem. Radzimy zakładać na obiektyw kapturek ochronny.

Na pozostałe listy wkrótce odpowiemy.



P — pierścień, R — rękawek



W roli Eufrozyny, żony Tarasa, wystąpiła na scenie Państwowej Opery we Wrocławiu śpiewaczka Halina Szczygłowska.



Scena z IV obrazu opery „Rodzina Tarasa”. Od lewej: Danuta Gołkowska (Antonina), Halina Szczygłowska (Eufrozyna), Stanisław Kolada (Andrzej), Henryk Łukaszek (Taras), Krystyna Jamroz (Nastka).

„R O D Z I N A T A R A S A”

PAŃSTWOWA OPERA we Wrocławiu uczciła 36 rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej wystawieniem opery znanego radzieckiego kompozytora, Dymitra Kabalewskiego, „Rodzina Tarasa”.

Po raz pierwszy na polskiej scenie operowej ukazano dzieło o współczesnej tematyce społecznej, obalając wciąż jeszcze u nas panujące mniemanie, jakoby życia i uczuć ludzi współczesnych nie można było przedstawić w formie operowej.

Okazało się, że umowność opery nie kłóci się z realizmem zdarzeń naszych dni, że problemy naszych czasów przemawiają ze sceny operowej z równą siłą, jak ze sceny teatru dramatycznego, że arie śpiewane przez bohaterów odzianych w codzienne, współczesne ubrania nie robią wrażenia sztuczności czy nierealistycznego zakłamania.

Bohaterami opery Kabalewskiego są prości ludzie radzieccy, członkowie rodziny majstra fabrycznego, Tarasa Jacenki, z małego miasteczka Kamienny Bród na Ukrainie. Znany dobrze te postacie z powieści B. Gorbatowa „Dusze nieujarzmione”. Librecista S. Ceniń (polski przekład libretta E. Zytomirskiego) zaczerpnął z powieści główny wątek dramatyczny i przetworzył go dla potrzeb opery w szereg obrazów powiązanych jednym konfliktem. Na przekroju losów jednej rodziny ukazał dzieje narodu radzieckiego w walce z hitlerowskim najeźdźcą. W walce tej rosną i przeobrażają się charaktery: Tarasa — z biernego obserwatora wypadków w czynnego bojownika ruchu oporu, i jego syna Andrzeja, który zetknawszy się z rzeczywistością zrozumiał, że ucieczka z niewoli hitlerowskiej do domu nie przyniesie mu jeszcze wolności, że wolność tę trzeba wywalczyć dla całego narodu, aby znaleźć swoje osobiste szczęście.

Prawdę psychologicznych przemian bohaterów znakomicie oddziałuje muzyka Kabalewskiego. Kompozytor nie zrezygnował w „Rodzinie Tarasa” z zamkniętych form muzycznych, wyposażył partie wokalne każdej nieomal postaci swej opery w melodyjne, łatwo wpadające w ucho arie i pieśni. Ale arie, duety i pieśni chóralne Kabalewskiego nie są celem samym w sobie, nie służą tylko dla popisu wokalnego śpiewaków, lecz wpływają na akcję muzycznej i scenicznej, stanowią naturalną kulminację uczuć bohaterów.

Bogata i nowoczesnie potraktowana instrumentacja świadczy o dużej indywidualności kompozytora i o mistrzowskim opanowaniu przez niego rzemiosła kompozytorskiego.

Opera Wrocławska wystawiając po raz pierwszy realistyczną operę o tematyce współczesnej, stanęła przed odpowiedzialnym i bardzo trudnym zadaniem. Dzięki dużemu wysiłkowi całego zespołu udało się jednakże przezwyciężyć trudności i stworzyć widowisko mocno przemawiające do wyobraźni słuchacza.

Reżyser Włodzimierz Kwaskowski odszedł od tradycyjnej w teatrach operowych sztampy inscenizacyjnej, wyraźnie zarysował charakterystyki bohaterów, ożywił chór, indywidualizując jego poszczególne postacie.

Z bardzo licznego i wyrównanego zespołu solistów zastąpili na wyróżnienie pięknie śpiewający swe partie i wkładający w grę szczerą prawdziwą przeżył: Henryk Łukaszek (Taras), Halina Szczygłowska (żona Tarasa — Eufrozyna), Krystyna Jamroz (Nastka), Stanisław Kolada (Andrzej), Aleksander Majewski (Stefan), Ludwik Mika (komsomoлец Pawełek) i Władysław Szeptyc-ki (stary majster Nazar).

Kierownictwo muzyczne spektaklu spoczywa w rękach Adama Kopycińskiego, który doskonale panując nad całością, wydobyl głęboki liryzm muzyki Kabalewskiego, prawidłowo uwypuklił kontrasty nastrojów i emocjonalne napięcie partii muzycznej w scenach dramatycznych.

Na słowa pochwały zasłużyła dobrze grająca orkiestra i precyzyjnie zaśpiewany chór, który, mimo częstego rozdzielania na luźne, rozrzucone po scenie i będące w ciągłym ruchu grupki, śpiewał czysto i muzykalnie.

Niewątpliwie wystawienie „Rodziny Tarasa” stanowi duży krok naprzód w rozwoju nowej polskiej sceny operowej i mamy nadzieję, że za przykładem Opery Wrocławskiej i inne nasze teatry operowe sięgną po współczesny, realistyczny repertuar.

WIDZ.



Scena z opery Kabalewskiego „Rodzina Tarasa” — wystawionej w Państwowej Operze we Wrocławiu. Libretto S. Cenińa

sowej produkcji, tak wysoko się ceni. No, bo pomyślcie tylko, że w Czechosłowacji konfekcja fabryczna jest o połowę tańsza niż szyta na miarę. A w Łodzi, rozmówca Dzielnego Krawczyka kupił sobie popelinę i dał do uszycia. Koszuła taka kosztowała go 180 złotych. Zrobiona w fabryce koszula z identycznej tkaniny kosztuje 240 zł!

— Jakże jeszcze muchy ubił Dzielnny Krawczyk?

— Najbardziej dokuczliwa jest ta, o której mówiło mu kilku fachowców. Właściwie ma zamiar zawołać herolda i kazać mu, aby obwieszczał to „każdemu, kogo dotyczy“. Przemysł drobny miał mianowicie w tym roku pokryć całe zapotrzebowanie na odzież dla Was, moje drogie dzieci — przemysł kluczowy miał się już tym nie zajmować. Ale nie znacie naszego przemysłu drobnego — jest on drobny, ale ho, ho, — on właśnie pchał się z tymi wyrobami, które przemysł kluczowy produkuje na taśmie. Przemysł drobny odwrócił się przeto plecami do ubranek dziecięcych.

— Niesłychane! Czy będziemy chodzić nago?

— Chyba nie. Rady Narodowe podniosły alarm i jakoś w porę zażegnały niebezpieczeństwo. W roku przyszłym — aż strach bierze — przemysł kluczowy ma nie produkować wcale odzieży damskiej prócz kostiumów i płaszczy. Jeżeli więc już teraz nie dopilnuje się przemysłu drobnego i spółdzielczego, to...

— My babci pożyczymy nasze ubranka!

— Bardzo jesteście dobre, ale może jakoś się bez tego obejść. Wędrując dalej, Dzielnny Krawczyk dowiedział się, że z całego kraju nadchodzą do magazynów Centrali Odzieżowej nie tylko ładne i dobrze wykonane wzory, ale też i takie, jak np. piżamy z Elbląga. Było ich 1200 sztuk zakwalifikowanych (też w Elblągu) do I gatunku. Z tej całej partii — w 689 sztukach wykryto aż 9 typowych błędów, które powodowały, że spanie w tych piżamach graniczyłoby ze sztuką cyrkową.

— A co robili brakarze w fabryce w Elblągu?

— Macie tu, drogie dzieci, typowy przykład odruchu warunkowego: na widok piżam brakarze zapadali w sen. Mówiono mi też, że już z kilku fabryk odzieżowych nadeszły do Łodzi wyroby, wśród których pojedyncze sztuki mają przypięte tasemki tej mniej więcej treści:

„Uszyć starannie — przeznaczony do wyceny“.

— Babciu, co to znaczy?

— Jak będziecie dorosłe i będziecie pracować w fabryce odzieżowej — to zrozumiecie, ale trzeba mieć nadzieję, że do tego czasu te praktyki będą zlikwidowane. A więc szyje się wyjątkowo starannie np. parę spodni, którą czaruje się komisje wyceny tak, jak słynny Potemkin czarował Katarzynę II wioskami z dykty. Innym parom spodni z tej serii już daleko do doskonałości — ale to nieważne (dla fabryki), gdyż przeciętna cena już jest. Nieodrywanie takich hańbiących tasemek od gotowych wyrobów świadczy o tym, że niektóre zakłady uważają te praktyki za normalne — a może lenistwo nie pozwala im nawet na zatarcie śladów. Dzielnny Krawczyk nie zdołał też ustalić, jaka fabryka wyprodukowała partię rewelacyjnych płaszczy damskich, wspomnianych po dziś dzień z rozrzewnieniem w Centrali Odzieżowej. Płaszcze te były wydarzeniem na skalę światową, gdyż miały kieszenie wszyte do góry.

— Ależ babciu, przecież to obala prawo ciężenia!

— Szuszenie, drogie dzieci, i przeto nad takimi producentami, którzy marnują drogocenną wełnę (84% wełny do naszych wyrobów kupujemy za granicą!), powinna zaciążyć karząca ręka sprawiedliwości.

— A czy Dzielnny Krawczyk widział, jak się produkuje odzież?

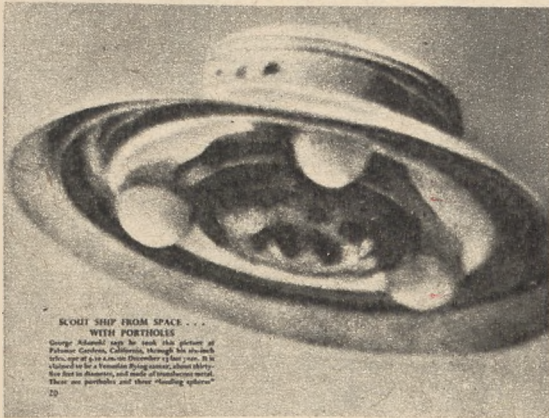
— Oczywiście. Zawędrował do Warszawskich Zakładów Przemysłu Odzieżowego, które dają coraz lepszą produkcję, zacierając pamięć po tych nieszczęśliwych kostiumach „na glistę“. Widział tam też komórkę wzorującą — jedną z 38 już pracujących w naszym przemysle lekkim. W roku przyszłym będzie ich już 62 i zatrudniać będą 127 plastyków w różnych ośrodkach przemysłowych, rozsiadanych po całej Polsce. Ta „decentralizacja pomysłowości i dobrego gustu“ wyjdzie nam na dobre; z drugiej strony WZPO produkuje wyłącznie odzież męską, a w komórce wzorującej Dzielnny Krawczyk zastał...

— Pewnie chłopów na schwał, przymierzających pumpy i wiatróvky?

— Tym razem nie zgadliście! Same dziewczęta przymierzają tam rozkoszne szmatki; jest to kobieca wySPA szczególności na oceanie wybitnie męskich wyrobów. Kierowniczka tej placówki wzorującej rzekła, iż chętnie zobaczyłaby swe wzory w produkcji tu, na miejscowej taśmie — bo to wtedy można i ewentualnie skorygować modele w ostatniej chwili i doraźnie pomóc w rozwiązaniu trudności produkcyjnych — ale cóż, kiedy w WZPO projektuje się damskie sukienki, a wyrabia męskie jesienki i welwetowe marynarki. Co się będzie wyrabiać od nowego roku — tego nikt nie wie w całym WZPO, chociaż — oświadczyli zgodni naczelny dyrektor Kazimierz Sabatnik i główny inżynier Władysław Olejniczak — trzeba 45 dni, aby przestawić produkcję na nowy wzór.

— Babciu, a czy wzorcowanie odzieży damskiej nie powinno właściwie odbywać się przy fabryce damskiej konfekcji?

— Tego domagałby się tak zwany zdrowy rozsądek. Z drugiej strony i tak Dzielnny Krawczyk nie bardzo wie, dla kogo właściwie opracowuje się wzory sukienek. skoro przemysł kluczowy odzeglunuje się od nich w



Kenneth Simmons też zrobił pojazd międzyplanetarny — ale niezwykle ograniczonymi środkami: z abażura, obwarzanka i pilek tenisowych. Z lewej: „autentyczne“ zdjęcie z książki „Latające spodki wylądowały“, z prawej zdjęcie Simmonsa



HISTORIA O HISTERII

„Musiało się stać i stało się. Latający spodek wylądował w Stanach Zjednoczonych! Spodek był międzyplanetarnym pojazdem przestrzennym, który przybył z planety Wenus z orędziem dla nas wszystkich na Ziemi. 20 listopada ub. r. o wpół do pierwszej w południe amerykański obywatel rozmawiał z istotą z Wenus. Działo się to na pustyni kalifornijskiej“. Tak rozpoczyna się omówienie w dziale „Nauka“ brytyjskiego tygodnika „Illustrated“ najnowszej książki amerykańskiego p.t. „Latające spodki wylądowały“.



Tak miał wyglądać rozmówca (na migi) obrotowy Amerykanina, przybyły prosto z planety Wenus na pokładzie latającego spodka (po prawej w głębi). Amerykanin twierdzi, że to jest mężczyzna — musimy mu wierzyć

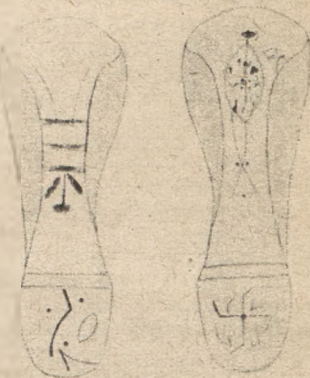
Jeden z autorów książki opowiada, że spotkał istotę, którą odtworzył z jego opowiadania rysownik, gdyż istota nie zgodziła się na pozowanie do zdjęcia. Rozmowa toczyła się „na migi oraz telepatią“ i trzeba przyznać, że Amerykanin zakasował jednego z bohaterów Wlecha, który umiał przy pomocy łokcia i dziesięciu palców recytować „Powrót taty“. Dowiadujemy się mianowicie, że mężczyzna (ejże?) z Wenus oświadczył, iż „ludzie z Wenus są przyjaźnie nastawieni i przybywają z racji swego zainteresowania wybuchami atomowymi“.

Po skończonej rozmowie, przybywszy z Wenus wsiadł do swego latającego spodka i zostawił swego przyjaciela z „puszką, która porównywalna być może tylko z uczuciem doświadczanym, kiedy odjeżdża bardzo nam droga istota“. Z rozpaczy po stracie przyjaciela, z którym tak się przyjemnie (na migi) rozmawiało, Amerykanin dobrał sobie do pomocy kolegę, który co prawda nikogo nie widział, ale też chciał zarobić parę groszy, i razem napisali wspomnianą książkę. Dzieło to wysłane zostało oczywiście i do Anglii razem z bieżącym ładunkiem „Coca-cola“ i comic's-ów. Prasa brytyjska zamieściła obszerny wyjątek z książki, a także „dokumenty“, jak np. szkice ze śladów, jakie pozostawił na piasku przybyły z Wenus oraz zdjęcia jego pojazdu.

Trochę zamieszania wprowadził czytelnik „Illustrated“, Kenneth Simmons z Londynu, który nadesłał zdjęcia latającego spodka domowej roboty. Obrotny Anglik wykonał „pojazd międzyplanetarny“ niezwykle ograniczonymi środkami: na abażurze szklanym położył talerz głęboki i spodek, na tym zaś trzy piłki tenisowe i jeden obwarzanek. Zdjęcie to odróżnił go od „oryginalnego“ zdjęcia dokonane go przez Amerykanina.

Ten drobny zgrzyt nie mógł jednak zagłuszyć fanfary prasowej wokół książki. Oznacza ona niewątpliwie znaczny postęp w dziełach ogłupiania

człowieka przez prasę i wydawnictwa amerykańskie. Dawniej, kiedy pojedynczemu człowiekowi ukazywały się tańczące wokół białe myszki, to — jeżeli zdradził się z tym swym bliźnim — najpierw zabraniano mu używania napojów wysokowych, a następnie, jeżeli myszki były uparte i nie chciały odejść, zamykano w zakładach specjalnych. Teraz — facet, który twierdzi, że rozmawiał z przybyszem z Wenus — opowiada o tym swym bliźnim z kart wielonakładowych wydawnictw, zarabia ciężką forszę i chodzi w glorii naukowca. A bliźni? Tak, jak w tej bajce Andersena o królu, który promienował nago, oświeceni tacy bzdurowyści przyznają, że uważają to wszystko za bzdurę. Obawiają się, że zostaną zakrzyczani przez tych, którzy są płatni za szerzenie masowej hysterii.



Czy na Wenus mają platfusa? Zastanawiać się można nad tym niecierpliwie ważnym problemem, badając ślady stóp tajemniczego przybysza z planety Wenus, pozostawione przez niego na piasku pustyni kalifornijskiej

roku przyszłym, przemysł zaś drobny i spółdzielczość nie interesują się wzorami swego większego brata. Te sprawy da się jednak niezawodnie rozwiązać na płaszczyźnie rozmów między zainteresowanymi resortami. Smutniejsze, ba — tragiczne wręcz sprawy dostrzegł Dzielnny Krawczyk w WZPO. Pokazano mu ponad 1.800 metrów tkaniny z Zakładów Przemysłu Wełnianego im. Małgorzaty Fornalskiej w Bielsku, która to tkanina została odrzucona przez WZPO, gdyż jest ufarbowana nierównomiernie w fantazyjne kałuże. Gdyby z tego rarytasu uszyć marynarkę, to jedna kłapa byłaby w innym kolorze niż druga. W ogóle, drogie dzieci, bez dobrej tkaniny — najlepsza fabryka odzieżowa nic nie poradzi. Dawniej, kiedy na skutek braku surowca fabryki miały przestoje — to z rozpaczy wyciągały z magazynów co się dało i szyły. Teraz już próby i groźby nie zmiękczą serc odzieżowców, gdyż łatwiej namówić astronoma na kupno fujarki, niż rozsądnego człowieka na nabycie sfuszerowanego garnituru. A te desenie! Są przecież kropki, kratki, pepitka i inne — a u nas ciągle jeszcze szumią jodełki na (wzorów) szczycie.

— Babciu, ileż to much zabił już Dzielnny Krawczyk!

— Policzmy, drogie dzieci. Wzornictwo, opracowywanie typowych figur, wadliwe magazynowanie i przewożenie, niecelowe ustawienie komórek wzornictwa przy fabrykach, brakoróbstwo odzieżowców i brakoróbstwo tych, którzy im dostarczają surowców do szycia — razem siedem!

— To akurat tyle, ile za jednym zamachem ubił Dzielnny Krawczyk! Tamta bajka dobrze się kończy: Dzielnny Krawczyk dostał pół królestwa.

— Nie mamy mu czego zazdrościć. Nawet całe królestwo jest teraz marnym interesem. Historia mówi, że w 1943 zlikwidowano monarchię we Włoszech, w rok później — carstwo Bułgarii, w 1947 — monarchię w Rumunii i w roku 1952 — wypędzono króla z Egiptu. Nasza bajka kończy się inaczej: przegrupowanie sił i szczególna opieka umożliwi przemysłowi lekkiemu rzucenie na rynki tysięcy nowych wzorów. Wyroby powinny być ładne, wygodne, trwałe i dostępne nie tylko dla królowej z bajki.

LUCJAN WOLANOWSKI



Na tych saneczkach jadą aż dwie książeczki PKO, mimo że na saneczkach jedzie małżeństwo. Każde bowiem z małżonków może korzystać z dobrodziejstw, jakie daje posiadanie książeczki oszczędnościowej



Obok jazdy podstawowym elementem szkolenia hokeistów jest doskonałe opanowanie techniki prowadzenia krążka. Tego rodzaju ćwiczeń nigdy nie jest za wiele na to, by go móc ułożyć w bramce przeciwnika.

NA PIERWS

KIEDY na boiskach piłkarskich życie toczyło się w najlepsze, sztuczne lodowisko w Stalinogrodzie otworzyło swe bramy sportowcom spod znaku łyżew. Oczywiście pierwsi zjawili się na Torkacie wychowawcy: zawodnicy jazdy figurowej i hokeiści. Skończyły się pracowite treningi zastępcze zwane suchą zaprawą, ćwiczenia na podłodze poszczególnych elementów jazdy szkolnej: łuków, trójków czy pętlic. Teraz figury te rysują łyżwą na gładkiej tafli. Porzucili zastępcze ćwiczenia hokeiści. Potoczył się kauczukowy krążek. Łatwiej go teraz będzie ułożyć w bramce, kiedy przez wiele dni ćwiczyło się strzały z deski...

O każdej porze dnia i do późnej nocy na tafli stalinogrodzkiego lodowiska widać pracę. Poza miejscowymi drużynami hokejowymi Torkat musi obsługiwać i wiele zamiejscowych. Zgłoszenia stale napływają, a gospodarze, którymi są Górnicy, mimo najlepszych chęci nie

AMERYKAŃSKA MATEMATYKA SPORTOWA

OD KILKU już miesięcy amerykańscy działacze sportowi usiłują dokonać zmiany w programie olimpijskim, oczywiście zmiany takie, które dałyby im w Melbourne możliwości uzyskania zdecydowanego zwycięstwa. Tego zwycięstwa, którego nie potrafią zdobyć w Helsinkach, gdzie startujący po raz pierwszy w Olimpiadzie sportowcy radzieccy wywalczyli tyle samo punktów, ile bezkonkurencyjni dotychczas Amerykanie.

Główną sprężyną całej akcji jest amerykański kapitalista, Avery Brundage, przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, który przy pomocy kilkunastu innych reakcyjnych działaczy sportowych z zachodu Europy w bezceremonialny sposób usiłuje narzucić swój „projekt” całemu światu.

Początkowo Brundage chciał w ogóle wyeliminować z programu Igrzysk kilka dyscyplin sportu, m. in. lekkoatletykę, łyżwiarstwo, piłkę nożną itd., a więc dyscypliny, w których sportowcy obozu pokoju zdecydowanie przodują w świecie. Gdy spotkał się z oporem ze strony uczciwych działaczy sportowych z zachodu Europy, zmienił nieco ton, powołał komisję, w skład której weszli w większości jego najbliżsi polityczni przyjaciele, i — ponowił atak.

Jego nowy projekt jest bardziej zawoalowany niż poprzednie — łatwy jednak do rozszyfrowania.

Cóż bowiem proponuje brundage'owska komisja?

Po pierwsze — usunąć z programu olimpijskiego rzut kulą i dyskiem kobiet (rzekomo niebezpieczne dla zdrowia);

po drugie — znieść klasyfikację drużynową w gimnastyce, kolarstwie, szermierce i sportach konnych;

po trzecie — zmniejszyć liczbę zawodników, startujących w konkurencjach indywidualnych;

Brundage zaproponował wprowadzenie do Igrzysk Olimpijskich siatkówki męskiej. Na kilka miesięcy przed zgłoszeniem propozycji Amerykanie zaczęli forsownie trenować.



Oto dyskobolki radzieckie, triumfatorzy Olimpiady w Helsinkach. Pan Brundage uważa, że ta dyscyplina sportu nie powinna być reprezentowana w Melbourne.

po czwarte — zaproponować włączenie do programu Igrzysk siatkówki męskiej oraz hucznictwa.

Jest więc w tych propozycjach niby ułkon w stronę sportowców ZSRR i krajów demokracji ludowej (gdyż siatkówka jest naszą silną bronią), ale jednocześnie...

I tu zaczyna się amerykańska matematyka sportowa.

Zalóżmy, że zaproponowane przez brundage'owską komisję zmiany byłyby przyjęte. Jak wzmacniałyby one pozycję sportowców USA, a osłabiły naszą?

Zdobywamy według wszelkiego prawdopodobieństwa trzy pierwsze miejsca w siatkówce, w kolejności — powiedzmy — ZSRR, CSR i Węgry. Zdobywamy zatem 1 złoty, 1 srebrny i 1 brązowy medal.

A co tracimy?

I znów na podstawie właściwej oceny sytuacji możemy stwierdzić, że:

1. tracimy 3 medale olimpijskie w rzucie dyskiem kobiet;

2. tracimy 3 medale olimpijskie w pchnięciu kulą kobiet;

3. tracimy co najmniej cztery medale za punktację drużynową w gimnastyce kobiet i mężczyzn (ZSRR, Węgry lub CSR);

4. tracimy co najmniej 1 medal w szermierce za punktację drużynową (Węgry).

Słowem, tracimy 11 medali olimpijskich, a zyskujemy trzy. Strata nasza wynosi, według kalkulacji amerykańskiej, 8 medali.

Nie na tym jednak koniec. Brundage'owska komisja chce do programu Igrzysk wprowadzić hucznictwo. I znów nie dzieje się to bez przyczyny. Ta dyscyplina sportu uzyskała ostatnio w USA dobre wyniki.

Komisja proponuje, jak wspomnieliśmy, jeszcze siatkówkę męską. Wszystko wskazuje na to, że o propozycji komisji wiedzieli już dawno amerykańscy macherzy sportowi. Przed kilku bowiem miesiącami

przystąpiono w USA na gwalt do formowania kilku uniwersyteckich drużyn siatkówki, mających być zalążkiem przyszłej kadry olimpijskiej. Zresztą komisja „zabezpieczyła się” na wypadek, gdyby Amerykanie nie zdołali podnieść klasy swych reprezentantów w siatkówce. Zabezpieczyła się w ten sposób, że postawiła jeden warunek — wciągnięcia siatkówki do programu olimpijskiego. „Siatkówkę mężczyzn dopuści się do udziału w Igrzyskach, jeśli zgłosi swe zespoły co najmniej 15 państw”.

I znów trzeba zacząć liczyć: ZSRR, Chiny, CSR, NRD, Polska, Węgry, Rumunia, Bułgaria, Korea, Albania — to 10 zespołów. A brakujące pięć?

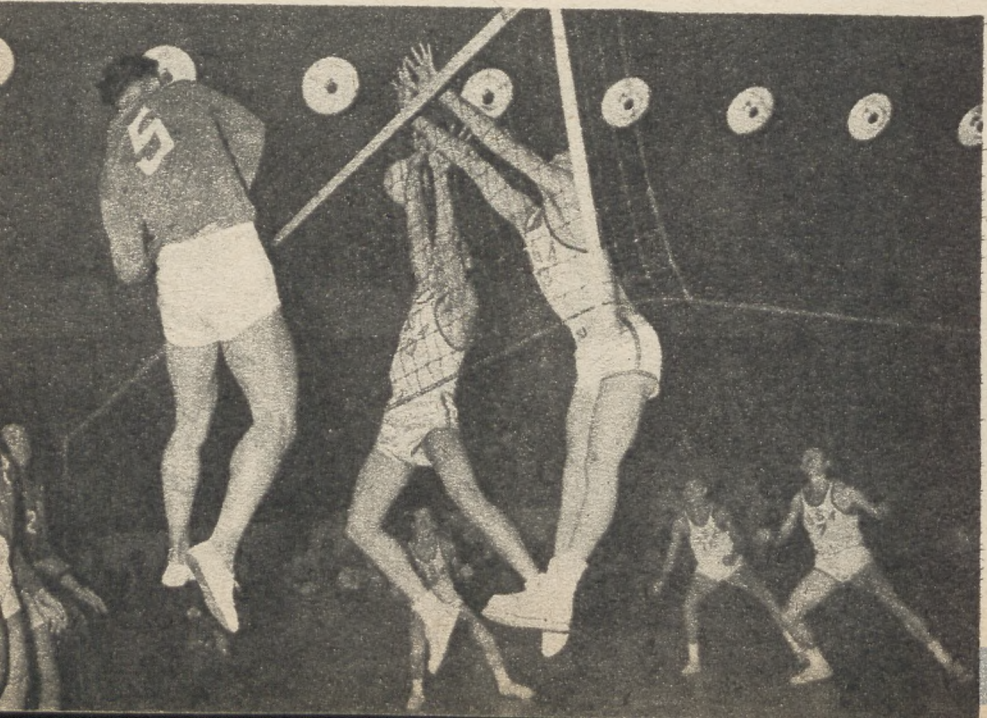
Muszą to być zespoły z państw kapitalistycznych. A na ich zgłoszenie lub niezgłoszenie do Igrzysk mogą mieć wpływ mister Brundage i jego poplecznicy.

Mister Brundage i jego komisja nie mogą jednak sami decydować o programie najbliższych Igrzysk Olimpijskich. Muszą swe proamerykańskie wnioski przedstawić na kongresie Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Kongres ten odbędzie się w maju przyszłego roku w Atenach i dopiero jego decyzje będą prawomocne.

W chwili obecnej w wielu krajach kapitalistycznych podniosły się głosy sprzeciwu przeciwko dyktatorskim, proamerykańskim poczynaniom mister Brundage, przeciwko próbom ograniczenia zasięgu Igrzysk Olimpijskich, podporządkowania ich w całości interesom sportu amerykańskiego.

Te głosy sprzeciwu są symptomatyczne. Jak dalece jednak mogą one wpłynąć na decyzję Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego — zobaczymy w przyszłym roku...

W. WOJTECKI



mogą znaleźć sposobu, aby spełnić życzenia wszystkich. Bo przecież wiele godzin potrzebują łyżwiarze, którzy przygotowują się do spotkań międzynarodowych i zawodów krajowych. Również setki dzieci pragną jeździć na łyżwach i o tych młodocianych przede wszystkim trzeba dbać. Już przed świtem zjawia się dzieciarnia na Torkacie, aby przed zajęciami w szkole potrenować. Malców cechuje wprost niezwykły entuzjazm, który na pewno zaprowadzi ich do sukcesów. Już dziś do czołówki krajowej weszli przedstawiciele najmłodszych łyżwiarzy: 14-letnia Basia Jankowska, 12-letnia Urszulka Machinek, Boguś Hnatyszyn i Henio Hanzel, którzy jeszcze nie skończyli 16 lat.

Niestrudzenie pracują maszyny, pędząc wielokilometrowymi rurami zamrażającą solankę. Obecnie poważną część pracy przejmie na swe barki sztuczne lodowisko w Warszawie.

KRYSTYNA WOLSKA

Fot. N. Boronowski



„Spirala śmierci” — brzmi to dość groźnie, ale w rzeczywistości ta efektowna figura nie jest niebezpieczna.



Jacek ma cztery lata i chociaż łyżwy jego nie nadają się do jazdy figurowej (mają podwójne ostrze), melduje się na zbiórkę „starszych” kolegów. Ma rację. Żeby zostać dobrym łyżwiarzem, trzeba już zaczynać w tym wieku.

Niedziela przed południem. Taflę okupują tym razem nie wyczynowcy, ale „zwykli” miłośnicy jazdy na łyżwach. Młodzież i starsi — ludzie z kopalń i hut, znajdują na Torkacie przyjemną i zdrową rozrywkę.



Notatnik zapalenica

CO POWIEDZIAŁ STENDHAL...

NIE MA takiego zwycięstwa, które nie wywołałoby „czyichś łez” — to mądre powiedzenie Stendhala przypominało mi się, kiedy usłyszałem wynik meczu Węgry — Anglia. Wyobrażam sobie minę p. Brundage’a, amerykańskiego specjalisty od spraw olimpijskich. Sądzę, że nie była „olimpijska”. Jeśli mnie jego mina interesuje, to nie przez zwykłą złośliwą satysfakcję — w stosunku do tego pana byłaby zresztą usprawiedliwiona — ale z powodów, że tak powiem, czysto naukowych, doświadczalnych. Jak wygląda bezzilna złość w stanie czystym? Proszę, obywateli, przypatrzcie się dobrze! Momencik, mistrzu, małe zdjęcie! A teraz en face! Dziękuję panu.

Bo co ma zrobić teraz pan Brundage? Najchętniej postawiłby wniosek o skreślenie piłki nożnej jako konkurencji olimpijskiej. Ale nie uczyni tego, uważa, że nie może się aż tak ośmieszać. Myślę, że to przesadna wrażliwość. Ośmieszył się bowiem już gruntownie propozycją skreślenia dysku i kuli kobiet. Dlaczego chce skreślić tak piękne konkurencje? Może nie podobają mu się nogi dyskobolek? Co do mnie... mniejsza o to!... Podejrzewam — i zdaje się, nie bez racji — że nie podobają mu się wyniki Ponomariowej, Dumbadze, Szumskiej, Arzumanowej, Bagriancewej, Zybyni, Tocznowej, Andrejowej i tylu innych radzieckich dziewcząt, którym — tak się złożyło — nie może przeciwstawić ani jednej Amerykanki. Zgadliśmy? Zgadliśmy! Cały świat zgadł, panie Brundage! Prosimy więc nie przerywać przedstawienia i ośmieszać się dalej! Czekamy z zapartym tchem na następny karkołomny numer...

Wróćmy do Węgrów. Co się właściwie stało? Jedenastu chłopaków węgierskich, wśród których byli wojskowi, technicy budowlani, instruktorzy sportowi i przedstawiciele innych zawodów — pokonało w meczu piłkarskim jedenastu angielskich zawodowców, ludzi, którzy dostają pensję za trening i grę, premie od wygranych spotkań i premie od strzelonych bramek. Wszystko było przygotowane tak, by zmniejszyć szanse Węgrów do minimum. Cięższa piłka, szersze boisko, odpowiednia data (z niezawodną mgłą), wreszcie obca publiczność. I deprymujący mit! Mit o tym, że Anglików na ich własnym boisku nie można pokonać. Czyż nie miał racji Zapaleniec, kiedy pisał, że żyjemy w epoce obalania mitów — zarówno wielkich, jak i tych najmniejszych? Jedenastu węgierskich chłopaków, którzy przy ryku stu tysięcy publiczności strzelali Anglikom bramkę za bramką, wygrało nie tylko mecz sportowy, ale dokonało przejaśnienia w niejednej głowie. Nie wstydzę się powiedzieć, że mecz ten kończy pewien okres w historii piłkarstwa i zaczyna jakiś nowy. Jest — na miarę sportu — epokowy. I w pewnym sensie, już nie tylko na miarę sportu, pouczający. Wyculi to kibice na całym świecie, którzy od dłuższego czasu liczyli z niecierpliwością dni, dzielące ich od meczu.

Anglicy są niewątpliwie świetnymi piłkarzami. Drużyny angielskie biją już reprezentacje państwowe. „Liverpool” pokonał kiedyś reprezentację Niemiec. Ale piłka jest okrągła: przed wojną „Chelsea” pokonała reprezentację Polski 2:0, a w kilka dni później przegrała z krakowską „Wisłą” 0:1. Reprezentacji Anglii powodziło się w Europie nienadzwyczajnie: dostało im się od Austriaków, a raz bodajże i od Szwajcarów. Tłumaczono to tym, że piłkarze angielscy traktowali wyjazdy do Europy jako mniej lub więcej interesujące wycieczki — „ojczyzny” bronili u siebie.

I trwał mit. Ale warto by poszukać jego początków. Starzy znawcy piłkarstwa może wypowiedzą się w tej sprawie. Mnie się wydaje, że niezdrowa legenda o niezwyciężalności Anglików w Anglii datuje się od czasów — Zamorri. Jose Zamorra był to znakomity bramkarz hiszpański, fenomen zręczności i refleksu, człowiek, który miesiącami nie przepuszczał goli. Opowiadano sobie bajdy o jego kolorowej, kręclastej koszulce: miała ona rzekomo cudowną moc „oślepienia” napastników (proszę nie zapominać, że Zapaleniec grał w owym okresie tzw. „szmatówką” i z łatwością przyjmował wszelkie „cudowności”). I oto Hiszpanie wyjechali na wielki mecz do Anglii. Może był to skutek mgły, ale „cudowna” koszulka przestała działać — i „boski” Zamorra siedem razy wyjmował piłkę z siatki. Było to coś nienormalnego — prawie wstrząsającego — i coś się dziwił, że zareagowano na to stworzeniem legendy? Klęska Włochów, znajdujących się wówczas u szczytu formy, potem klęski różnych „złotych”, występujących pod firmą „Kontynentu” — legendę tę utwierdziły. Ludzie z poczuciem humoru nigdy w nią nie wierzyli...

Nasi przyjaciele z Węgierskiej Republiki Ludowej — prawdziwi mistrzowie piłki, od trzech lat niepokonani — tym razem już bez żadnych legend! — sześcioma udanymi strzałami ściągnęli piłkarstwo angielskie z Olimpu na ziemię. Węgrzy mogą sobie teraz pozwolić nawet na luksus porażki. W stosunkach piłkarskich nastąpiła — jak to się pięknie mówi — „normalizacja”.

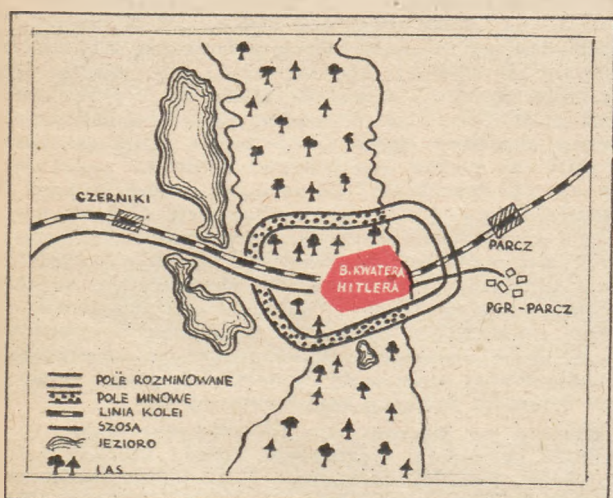


Przez dziewięć lat „Wilczy Szaniec” ział grozą: tysiące min broniły dostępu do b. kwatery Hitlera w Parczu...

NA POLU ŚMIERCI POLE URODZAJU

MIROSŁAW AZEMBSKI

Zdjęcia: W. PRAŻUCH



Mapka sytuacyjna b. kwatery głównej Hitlera, oznaczanej przez faszystów kryptonimem „Wolfsschanze”.

STOIMY przed parczewskim pałacem i rozprawiamy o ponurych pozostałościach wojny. Przez dziewięć powojennych lat sprawy te były tutaj niestety bardzo bliskie, widzialne i — do diabła! — nawet dotykalne. Przez dziewięć lat „Wilczy szaniec” ział grozą, chociaż wściekłego wilka dawno już zatłuczono. „Wolfsschanze”! Ludzie z PGR-u patrzą w stronę lasu z nienawiścią:

— Dobrze — powiadają — że raz na to przyszedł koniec...

A finał nastąpił 15 października, gdy dwaj saperzy, Bernatowicz i Kaczmarczyk, „dosiedli” z fasonem traktorów i rozpoczęli orkę na polach PGR-u. Tego dnia zbiegli się ludzie z całej okolicy i w najwyższym napięciu nerwów obserwowali na ogół zwyczajną czynność orania. Stare kobiety polecały żołnierzom wszystkim świętym, mężczyźni rzucali słowa otuchy (zbytecznie, bo saperzy wykazywali jak najlepszy humor), a dziewczyny, które sobie owych saperów upodobały, trzymały się za mały palec — „na szczęście”...

Kiedy wojskowe traktory przeorały 52 hektary ziemi, ludzie parczewscy odetchnęli z ulgą: skończyło się igranie ze śmiercią, pokątny pas gruntu został uwolniony od min, o czym się przekonali naocznie. Można już po tym polu chodzić, można je po raz pierwszy od wielu lat zasiewać!

— W porządku — śmieją się żołnierze. — Nawyjmowaliśmy tego jak brukwi.

Chłopi milczą. Łatwo się mówi: „jak brukwi”... Nie była to brukiew, tylko śmierć, zamknięta w żelaznych i szklanych puszkach. Trzy lata żołnierze ryzykowali życiem i zdrowiem, aby odzyskać pola. Trzy lata kontrolowali każdy swój krok, każdy ruch, wykorzystywali maksymalnieaperskie umiejętności. Milczą zatem chłopi, nie dowcipkują, a w ich milczeniu jest podziw i wdzięczność.

NIE POWTÓRZY SIĘ PRZYGODA „ŁACIATEJ”..

Dowódca jednostki saperów wręczył dyrektorowi zespołu zieloną teczkę z dokumentami. Zawarte w niej protokoły opiewały, że:

a) pas ziemi otaczający od strony Parczu teren byłej kwatery głównej Hitlera (oznaczanej przez hitlerowców kryptonimem „Wolfsschanze” — „Wilczy Szaniec”) został całkowicie rozminowany; na pasie tym, długości około 10 km a szerokości około 150 m, wydobyto 29.599 sztuk min;

b) niniejszym przekazuje się rozminowany teren, obejmujący 52 ha ziemi ornej, zespołowi PGR w Parczu.

W załączeniu: plan zaminowania - mapa pokryta trójkątami, kwadratami, rombami, całą siecią kombinacji geometrycznych, według których wtykano w ziemię śmiercionośne pudełka — dla ochrony cennej osoby „fuhrera”.

Wszystkie przeciwzołgowe i przeciwpiechotne miny ułożyli saperzy w stosy i uroczystie wysadzili w powietrze. Huknęło, błysnęło — i tak zakończona została blisko trzyletnia walka polskich żołnierzy przeciw złowieszczyim pozostałościom wojny.

Krowy gajowego mogą spokojnie spacerować po łące. Nie powtórzy się więcej fatalna przygoda łaciatej, która wyszła na przechadzkę i nie umiejac — rzecz prosta — przeczytać napisu „UWAGA, MINY”, zakończyła swój żywot. Myśliwi z Giżycka nie będą już więcej z przerażeniem oglądać, jak dzik, za którym nieostrożnie pogonili w las, wylatuje w powietrze razem ze sforą psów.

„SIEDZIAŁ TU HYTLER...”

Rozbrojone ziemie wokół parczewskiego lasu dają już dzisiaj swobodny dostęp do osobliwego obiektu, niegdyś tylko z rzadka zwiedzanego przez turystów.

Idziemy tam w towarzystwie, a raczej pod przewodnictwem, młodego księgowego Michała Wołczaka i Jana Cymka, najstarszego wiekiem w tej okolicy (78 lat) Mazura, który „wszystko widział i wszystko przetrzymał”.

Wyłania się przed nami ponury, a nadzwyczaj interesujący rezerwat. Las niezbyt wielki, niepozorny. Dochodzi się doń szosą asfaltową, dość wąską, najwidoczniej nie przeznaczoną dla masowego ruchu. Z odległości kilkuset metrów można już na półkolistym skraju lasu dostrzec potraskane bunkry, niby wypróchniałe, wilcze kły. Kiedyś, w 41 roku, kły były jeszcze zdrowe — stanowiły pierwszą „Postenkette” — łańcuch strażniczych gniazd oporu. Cymek, bardziej jeszcze wtedy dziański niż dziś, przeżył tu nieprzyjemną przygodę. Podpił sobie nieco i wdał się w pogawrkę z „postem”, uzbrojonym po zęby.

— Pilnujcie lasu — powiada Cymek — założyliście nawet siatki, żeby się zające nie przedostały. A my i tak wiemy, kto w lesie siedzi.

— A kto? — poderwał się strażnik.

— A wasz Hytler! — krzyknął Cymek. I uciekł.

Ludzie domyślali się, wiedzieli, a ludzie okoliczni — to Mazurzy, Polacy. Nie na darmo „Hytler” w tej właśnie „Wolfsschanze” snuł plany o „wzmocnieniu niemczyzny na tych terenach” — co skwapliwie zanotował stenograf i co niedawno dostało się do wiadomości publicznej w książce „Hitlers Tischgespräche”. Czy nie znaczyło to, że wódz brunatnych „nadiudzi” bał się już nie tylko radzieckiego desantu z powietrza, ale też po trosze i tych Mazurów, zamieszkujących



W październiku saperzy zakończyli blisko trzyletnią pracę; PGR w Parczu odzyskał 52 ha rozminowanej ziemi. Na polach, budzących do niedawna grozę, dziś pasą się owce, a wiosną odbędzie się pierwszy powojenny siew.

Rozbrojone ziemie dają swobodny dostęp do osobliwego obiektu, niegdyś rzadka tylko zwiedzanego przez turystów. Tysiące ton betonu i stali zużyto na budowę bunkrów, które chroniły „fuhrera” i generałów.



„praniemieckie Ostpreussen”. Stąd bunkry strażników, stąd pas ziemi dookoła „Wolfsschanze” zaminowany tak gęsto, że polski oficer saperów o czymś podobnym nie słyszał, chociaż doświadczenie ma niemałe.

CZY TO WSZYSTKO...?

Jesteśmy już na terenie samej kwatery. Jeżeli dotąd jej wygląd świadczył o strachu przed atakiem partyzantów, czy spadochronowych skoczków, to teraz urządzenia „Wolfsschanze” podporządkowano jednemu celowi: ochronie „wodza” i generałów przed bombardowaniem lotniczym.

Ileż to razy niemieccy żołnierze idąc na front powtarzali: „Hitler nas wysłał, a sam dobrze gdzieś siedzi ukryty”. Wściekłość swoją wyrażali w wierszyku, wypisywanym na ścianach:

Wir wollen keinen „Sieg“,
Wir wollen nicht mehr Krieg,
Wir wollen keine „Reichen“,
Wir wollen Hitlers Leiche!

(Nie chcemy żadnego „zwycięstwa“,
Nie chcemy już wojny,
Nie chcemy żadnych „Rzesz“,
Chcemy zwłok Hitlera!)

A tymczasem „wódz” lepiej był zabezpieczony, niż ci żołnierze przypuszczali. Tysiące ton lanego betonu zużyto na budowę bunkrów, wysokich na trzy piętra, zamaskowanych naturalnymi i sztucznymi drzewami. Uciekając hitlerowcy wysadzili je w powietrze, mimo to daje się odtworzyć pierwotny obraz: miasto betonowych gmachów o stropach i ścianach grubych na dziesięć i więcej metrów. Potężna masa betonu i stali chroniła wnętrza zadziwiająco małe i — jak wspominają w pamiętnikach sztabowe niedobitki — bardzo niewygodne. Strach był więc silniejszy niż zamiłowanie do luksusu, tak charakterystyczne dla brunatnych „nadludzi”.

...A może? Nasuwają się czasem podejrzenia, że owe betonowe kolosy nie istniały same dla siebie, ale osłaniały wejścia do jakichś podziemnych pomieszczeń, dziś niedostępnych, zawałonych wielotonowymi bryłami ścian i stropów...

Idziemy lasem, mijając obszary o odmiennym charakterze: poszycie rzadkie, drzewka młode; prawdopodobnie rozkopywano tu ziemię, a później, po zakończeniu tajemniczych prac, starano się zestroić wygląd tych stref z resztą leśnego krajobrazu.

Oglądamy szczątki elektrowni, stacje pomp, mnóstwo innych urządzeń. Zapytujemy naszych przewodników i samych siebie: po co ta cała potężna baza techniczna? Dla oświetlenia kilkunastu nadziemnych bunkrów nie trzeba było budować własnej elektrowni, dla ich ogrzania nie była konieczna gazownia. Czy betonowe zwaliska — to wszystko? A może nie są całkowicie pozbawione sensu opowiadania o okolicznej ludności o podziemnym szpitalu, ba, nawet o całym podziemnym mieście?

ZOSTANIE PAMIĄTKA PO ZBRODNI

Wółczak wskazuje pusty plac obok największego bunkra:

— Tutaj stał barak, gdzie jakiś generał rzucił bombę pod Hitlera...

„Generał”, to — nie trudno się domyśleć — pułkownik hr. Stauffenberg. Historia zamachu znana jest w Parcu dość dokładnie.

— Właścicielem Parcu był baron von Schenck zu Tautenburg. Jego syna aresztowało gestapo jako zamieszane w ten zamach. On i inni baronowie chcieli sprzątnąć Hitlera, sami chcieli objąć władzę...

Trafny jest komentarz Wółczaka. Zaczepnięty nie z książek, a po prostu z życia, z historii rodzimego PGR-u. Wynika z niego, że gdyby ten operetkowy pucz się udał, baronowie prędzej umieliby się dogadać z Amerykanami i wspólnie uderzyć na Związek Radziecki. Zgadza się, to samo piszą w książkach.

Wółczak przechodzi do innego tematu. Najzupełniej ma dosyć Hitlera, Stauffenberga, drabów z Leibstandarte, baronów, konszachtów gestapowsko-amerykańskich. Za dużo jest w tych stronach złej przeszłości, a Wółczak jest młodym człowiekiem, jego interesuje chwila obecna i dzień jutrzejszy. Interesuje go chłop-ska rzeczywistość, gospodarka PGR-u. Posłuchajmy:

Jeszcze sporo min tkwi w lesie, marnuje się ten las, schnie, żrą go korniki. Wiosną przyjadą znowu saperzy, odminują resztę. Sztuczne drzewa wzięli ludzie na opał, żelazo pojechało na złom do naszych hut, maskowniczymi siatkami ludzie ogrodzili chałupy. „Wolfsschanze”, gniazdo zwierza, którego żywiołem była wojna, z powrotem oddaje wszystko ludziom, którzy chcą pokoju i pracy.

Mija nas fura, wieje drzewo, porąbaną na szczapy część wilczej jamy. Wółczak uśmiecha się z satysfakcją. Z tym samym uśmiechem patrzy na stado baronów: pasą się na niedawno rozminowanym polu.

— Zostanie tylko to świństwo — wskazuje na góry potrzebzanego betonu. — Porosnie mchem i drzewami, bo czy opłaca się je ruszać?

— Może nie warto. Niech zostanie „pamiątka” po zbrodni, niech będzie ostrzeżeniem...

— Ano — mruczy Cymek. — Nie ma Hytlera, marnie skończył...

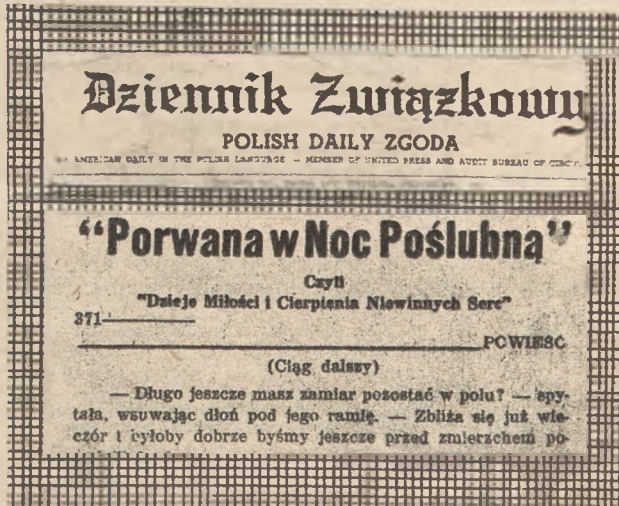
SWIAT o tym wie!

DAWI SĄSIEDZI

„Dziennik Chicagoski” z 29 sierpnia 1953 roku publikuje zupełnie trafną karykaturę, charakteryzującą oblicze prasy amerykańskiej:



Nie trzeba daleko sięgać — bo tuż pod nosem „Dziennika Chicagoskiego” ukazuje się „Dziennik Związkowy”, który drukuje już 371 odcinek powieści pod zachęcającym tytułem:



WIELKI POPYT NA KANNONENFUTTER

Hurra! Zaraz się zaczyna! — woła z entuzjazmem „Die Deutsche Soldaten-Zeitung”, organ twórców nowego „Wehrmacht”. Nagłówek na pierwszej stronie numeru z dnia 19 listopada 1953 mówi sam za siebie:



ZAWÓD WOJSKOWY OTWIERA WIELKIE MOŻLIWOŚCI ZAPOTRZEBOWANIE NIEMIECKICH SIŁ ZBROJNYCH NA OFICERÓW I PODOFICERÓW BĘDZIE BARDZO DUŻE

Na str. 2 tegoż numeru znajdujemy obszerny artykuł tłumaczący, jak wielkie perspektywy przed młodzieżą niemiecką otwiera odbudowa nowego „Wehrmacht”. Pismo gorąco zachęca młodych ludzi, by wybrali zawód wojskowy, zapewnia, że popyt na mięso armatnie będzie się w Niemczech zachodnich kształtował nader pomyślnie. Czytamy więc:

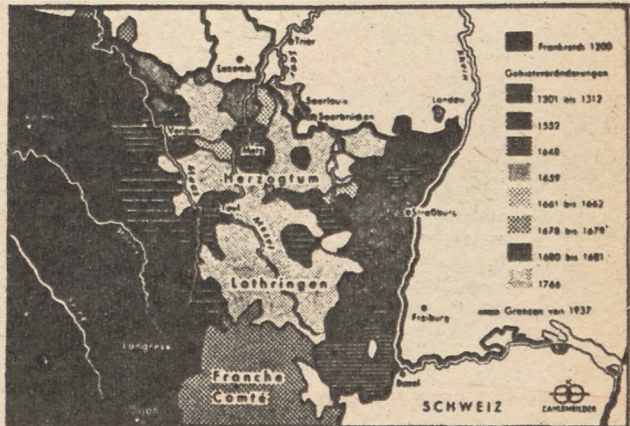
„Zapotrzebowanie na oficerów i podoficerów w przyszłych niemieckich siłach zbrojnych będzie bardzo wielkie... W zasadzie przed każdym młodzińcem stoi otworem zawód oficerski... Perspektywy awansu są niemal nieograniczone...”

Słowem — Sieg! Heil!

KOLEJ NA GRANICĘ FRANCUSKA

Odwetowcy zachodnio-niemieccy, którzy dotychczas ostrzeliwali z dział swej propagandy rewizjonistycznej naszą granicę na Odrze i Nysie, zabrali się z kolei do granic francuskich. Jeden z najbardziej napastliwych tygodników zachodnio-niemieckich „Ost-West-Kurier” w numerze 46 z listopada 1953 ogłasza na pierwszej stronie poniższą mapkę:

Frankreichs Ost- Deutschlands Westgrenze



W artykule zamieszczonym w tymże numerze pismo wyjaśnia, jak to rzekomo „centralistyczna i nacjonalistyczna Francja krok za krokiem zagarniała niemieckie ziemie na zachodzie”, aż pochłonięła „rdzennie niemieckie” kraje, Alzację i Lotaryngię.

W dalszym ciągu pismo podkreśla, że ziemie te podzieliły los Poznania, Bydgoszczy, Katowic i Gdańska, tudzież obszarów nad Odrą i Nysą, i daje niedwuznacznie do zrozumienia, że odwetowcy niemieccy nie zamierzają niczego się wyrzekać. Oto najlepszy akompaniament do debaty na temat armii europejskiej. Niech Francuzi wiedzą, do czego Niemcom potrzebny jest nowy „Wehrmacht”!

WYSTĘPEK NA ULICY

Krzykliwe plakaty na ulicach Londynu zapowiadały premierę sensacyjnej sztuki pt. „Vice in the Street” (Występek na ulicy) słowami: „Alarmująca! Brutalna! Wymowna!” Premiera została jednak odroczone, gdyż młoda, dwudziestoletnia aktorka Maria Sutherland, odmówiła kategorycznie występów w tym „Występku”. Uznała, że sztuka jest ohydą, pornograficzną szmirą, opar-

tą na amerykańskich wzorach.

Okazało się, że istotnie sztuka uległa amerykanizacji w rękach reżysera i dyrektora teatru. Była bowiem w pierwotnej wersji zbyt... błada. Oto co na ten temat oświadczył właściciel teatru:

„Fachowcy orzekli, że sztuka będzie miała powodzenie dopiero wtedy, gdy ją się odpowiednio podmaluje. Więc dodałmy jej trochę pieprzu”.

Wnosząc ze streszczenia sztuki, podanego w prasie londyńskiej, „pieprzu” teraz nie brak. Siedemnastoletnia dziewczyna uwodzi młodego chłopca, który jest synem drugiego męża jej matki. Po czym podnosi krzyk, że została zgwałcona. Wszystko zaś pokazane jest dokładnie na scenie.

Trudno się dziwić 21-letniej aktorce, że jej ta rola nie odpowiadała. Reżyser sztuki był jednak bardzo zdziwiony. „Przecież sztuka ma umoralniający sens — oświadczył — dobro w końcu triumfuje”. Właściciel teatru szuka więc nowej obsady do swej „umoralniającej” szmiry.

Coming Shortly!



TEATR ŚWIAT

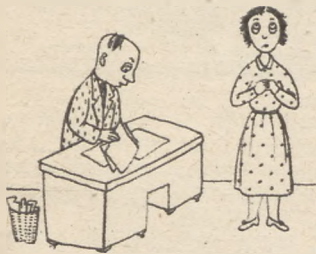
Dyrekcja: JAN SZELĄG
Dekoracja i kostiumy: MA-GA

Tekst: STEFAN NOWINA
według Ericha Hanka („Frischer Wind“)

Opera buffo pt.:

IGRASZKI ZE ŚMIERCIA

Osoby: Kowalski — reporter miejscowej gazety
Kowalska — żona reportera miejscowej gazety
Dyrektor zakładów B13
Panna Basia — sekretarka poprzedniego.



AKT I.

W mieszkaniu Kowalskich.

KOWALSKI: (wkracza szybko do mieszkania, idzie do biurka, gdzie nerwowo przerzuca papiery).

KOWALSKA (na stronie): Och, przecucie jakieś mną targa niejasne... (do męża) Dokąd jedziesz, kochanie?

KOWALSKI: Tylko spokojnie, dusz-

ko, nic się nie denerwuj. Muszę pojechać do Zakładów B13 i wyjaśnić kilka spraw, na które skarżę się w listach nasi czytelnicy.

KOWALSKA: Ooooh, nie rób tego!
KOWALSKI: Nic się nie martw. W kasie pogrzebowej mam zapłacone wszystkie składki. Pokwitowania leżą w biurku na prawo (wybiega).

AKT II.

W gabinecie Dyrektora zakładów B13
KOWALSKI: Panie dyrektorze, w licznych listach do naszej redakcji czytelnicy skarżą się, że w niektórych oddziałach waszych zakładów panuje nieodpowiedni stosunek do pracy. Na przykład w oddziale A-8...

DYREKTOR: Ach, więc pan jest z prasy?

KOWALSKI: Tak jest!

DYREKTOR: Chwileczkę (podchodzi do okna, podczas gdy orkiestra stara się wytworzyć na widowni nastrój grozy i napięcia. Następnie spuszcza żaluzje, zdejmując marynarkę i zawiązuje rękawy koszuli. Wreszcie chwytając Kowalskiego za kłapy i wypycha go w wąską przestrzeń między biurkiem a szafą, którą następnie tarasuje swoim potężnym brzuchem). Kto do was o tym napisał?

KOWALSKI: To nie gra żadnej roli, panie dyrektorze.

DYREKTOR: Nie gra roli? Nazwiska nie grają roli? Nazwiska grają tu główną rolę. (forte) Kto to był?

KOWALSKI: Bardzo przepraszam, może pan dyrektor odsunie trochę brzuch.

DYREKTOR: Po co?

KOWALSKI: Bo mi jest trudno odychać. Może ja najpierw wyjaśnię, o co w tych pismach chodziło...

DYREKTOR: Wszystko łgarstwa! Ale nazwiska, nazwiska, człowieku! To musieli być ludzie, znający doskonale nasze zakłady! Złoży pan dobrowolne oświadczenie w tej sprawie, czy nie?

KOWALSKI: Ależ drogi dyrektorze, to wcale nie musi być tak, jak pan mówi. Stosunki w waszych zakładach są znane dokładnie w całym mieście!

DYREKTOR: Ucho od śledzia! A poza tym, nie interesują mnie w ogóle stosunki, lecz nazwiska ludzi, którzy o tych stosunkach piszą. Ale tego się za chwilę dowiemy. Panno Basiu!

PANNA BASIA (wchodzi, niosąc ogromną siekierę): Słucham pana dyrektora!



DYREKTOR (do Kowalskiego): Widzi pan tę siekierę? (wyrzuca sobie z głowy włos i opuszcza go na ostrze siekiery: włos rozpada się na dwie). Czy wszystko przygotowane, panno Basiu?

PANNA BASIA: Tak jest, panie dyrektorze.

DYREKTOR: Trumny na składzie mamy?

PANNA BASIA: Tak jest, panie dyrektorze.

DYREKTOR: Ostatni raz pana pytam: poda pan te nazwiska, czy nie?

KOWALSKI (zamyka oczy): Nie!!!!

DYREKTOR: A więc dobrze! Musi pan...

ZEGAR WYBIJA GODZINĘ SIĘDEMNAŚĆ.

DYREKTOR (opuszcza bezwładnie siekierę i kurczy się): Godzina siedemnasta, koniec urzędowania. Ma pan szczęście młody człowieku! Przy okazji niech pan sobie zanotuje, jak punktualnie i dokładnie się u nas pracuje!

KURTyna

MEDAL Z BIAŁOGONU

Dokończenie ze str. 5

W okolicach opisanych przez Kownackiego wędrował nie raz jeden ojciec polskiego górnictwa. W Miedziance pod Chęcunami założono za jego staraniem nowy szyb w sztolni „Zofia”, w Kielcach powołano do życia Dyрекcję Główną Górniczą i Szkołę Akademicko-Górnictwa, w Białogonie zbudowano w r. 1817 hutę „Aleksandra”. Sztaszic! Gdziekolwiek w Polsce powstaje w początku wieku XIX wielki obiekt przemysłowy, szkoła techniczna, nowa placówka badawcza, wszędzie prawie organizatorem albo inspiratorem przedsięwzięcia jest Sztaszic. Kiedy rozpoczęła prace huta w Białogonie, wybito medal pamiątkowy z wizerunkiem do dziś istniejącego hutniczego budynku, datą 1817 i napisem, który zastanowił Ambrożego:

„I KRUSZCOM POLSKI ZAJAŚNIAŁO SŁOŃCE”

Słońce to skryło się co prawda bardzo szybko za chmury akcji i dywidendy, a pod trzema zaborami bogacili się jedynie kosmopolityczni obywatele z reymontowskiej „Ziemi Obiecanej”. Nie mówiono też wtedy

nic, albo prawie nic, o skarbach ziemi, stanowiących własność narodu. Ci jednak, którzy przypominają o tej własności i uczynią wszystko, by stała się ona podstawą lepszego życia polskiego ludu, bojownicy robotniczych przedmieść i wielkiego wyzwolenia, podejmą również z szacunkiem dzieło Kownackiego i Świtkowskiego, otworzą raz jeszcze księżki Sztaszica, odczytają w nich swój rodowód i motywy własnego działania. Wspomną także o szaszicowskiej wizji, nie tylko tej z „Rodu ludzkiego”, ale i ze wstępu do „Epok natury” Buffona:

„Pustynie zamienią się w miasta bogate i najliczniejszym ludem zasiedlane, który — zawsze czynny — z nich, jakoby z powszechnego ośrodka, rozchodzi się w pograniczne okolice. Drogi otwarte, wolne i ugaszczane, wszędzie przeprawy ułatwione — stają się świadkiem siły i jedności społeczeństwa”.

Praca Buffona ukazała się w Warszawie w roku 1786. Od dwóch lat nie wychodził już „Monitor”. Niejeden czytelnik szaszicowskiego wstępu wspominał jednak z okazji tej lektury pierwsze polskie pismo społeczne, które każdej środy i niedzieli propagowało sprawę dobrej przyszłości milionów „niższego urodzenia ludzi”, uczyło myśleć po obywatelsku, stawiało o rozkwit kraju, zamożność wsi i miast. Chociaż więc większość pożytecznych już kartelek „Monitora” adresowana była do współczesnych, a niektóre tylko zwracały się do potomnych, i jedne i drugie stanowią dzisiaj dokument pasjonujący. Uderzają gospodarskim stosunkiem do spraw krajowych, ożywiającym je patriotyzmem i postępowym duchem, ufnym spojrzeniem w przyszłość, żarliwością postawy i przekonaniem. Były w nich i projekty rzeczowe, dotyczące całości kraju. Autor artykułu w numerze dwunastym stwierdzał, że „różne królestwa tego strony do różnych przyjęcia manufaktur są sposobne”, podawał przykłady, wyliczał okolice Polski i dziedziny przemysłu.

Pod koniec roku 1776 ukazała się zaś w „Monitorze” rozprawa o działaniu ówczesnym dla przyszłości, najlepsze wyjaśnienie sensu białogonińskiego napisu:

„Widzimy, jak wiele temu państwu do dobrego porządku nie dostaje. Jesteśmy jego obywatele, do nas należy nie tylko myśleć, ale i starać się o jego dobro i honor. Długiego to czasu dzieło... Dajmy na to, że nie doczekamy tego, żebyśmy z tej pracy naszej korzystać mogli... Ale następcy nasi doczekać mogą. Nie mały stąd dla nas zaszczyt u nich, żeśmy im fundamenty dalszego szczęścia Ojczyzny założyli. Będą ojczyste kroniki ze czcią wspominać tego wieku obywateli, że to państwo w długim nierzadzie zostające wspaniałym sercem podźwignąć odważyli się...”

ARTUR MIĘDZYRZECKI

Droży Czytelnicy!

ODPOWIEDZI i WYJAŚNIENIA

„W związku z listem inż. M. Andżelewicz (Nr 21 z 24.V. br.) po zbadaniu sprawy wyjaśniamy:

W maju „szlak żółty” do schroniska pod Łąbskim Szczytem prowadził drogą przez 2 nachylone i bliskie ruiny mostki. W czasie odnawiania szlaku w lipcu trasę przesunięto na tym odcinku na inną, tzw. „starą drogę”, ponieważ remont mostków nie leży w możliwościach finansowych PTTK i nie był celowy.

Poprawienie ścieżki ponad Jeziorem Bystrzyckim nie leży w zakresie PTTK. Sztuczne jeziorko rzeczywiście podmywa ilasty brzeg. Powstrzymanie tego procesu przez odpowiednie inwestycje wymagałoby kilkuset tysięcy złotych.

Brak znaków po wyjściu na szosę spowodowany został zabiegiem ich przez droźnika przy wiosennym bieleńiu słupków. Brak ten już usunięto.

W jednym miejscu droga prowadzi po sadzonkach, które zasadzone zostały już po wynakowaniu. Nie ulega wątpliwości, że jest to do pewnego stopnia niedopatrzeniem, gdyż przed znakowaniem należało zasięgnąć informacji w Nadleśnictwie”.

Kierownik
Wydziału Propagandy
St. Kobrzyński

Kierownik
Działu Programowego
J. Wojsznis

„W odpowiedzi na notatkę prasową pt. „Egzemplarze giną” powiadamiam (Dyr. Okręgowa Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu — Red.), że dochodzenie nie ustaliło winnego nieregularnego doręczania Waszego pisma ob. Lenkiewiczowi Janowi w Radziszowie. Część egzemplarzy nie nadeszła do urzędu poczt. Radziszów mimo czterokrotnych reklamacji w PPK „Ruch”. Prawdopodobnie zaginęły w czasie transportu.

Dla zaspokojenia słusznych pretensji czytelnika, Upt. Radziszów zamówił na swój koszt brakujące egzemplarze, a w razie ich braku w Centr. Ekspedycji „Ruchu” należność w sumie 14,40 zł zostanie zwrócona Ob. Lenkiewiczowi.

Na marginesie tej sprawy informuję, że miejscowość Radziszów nie posiada stacji kolejowej, przesyłanie więc czasopism drogą autobusową przez Zmigród nie nastąpiło z winy poczty”.

Dyrektor Okręgowy:
(—) Wł. Kostro

„W związku z notatką w Nr 42 z dnia 18.10.53 r. pt. „PKS lubi niespodzianki”, Ekspozytura Osobowa PKS w Warszawie komunikuje, że nie możemy ustalić pracownika winnego za niewłaściwe nastawienie zegarów stanowiskowych i odpowiedniego ukarania go, ponieważ autor notatki nie podaje dnia, w którym wypadek miał miejsce.

Pracownicy nastawiający zegary zostali upomnieni i jeszcze raz pouczeni, a kierownictwo dworca ma obowiązek dopilnowania i kontrolowania ich pracy.

Jednocześnie wyjaśniamy, że wszelkie ewentualne wyniki zmiany w podstawianiu autobusów na inne stanowiska są podawane do wiadomości podróżnych przez megafon.

Jak orientujemy się z treści notatki, sprawa z niewłaściwym rozkładem jazdy mogła mieć miejsce w miesiącu sierpniu lub wrześniu i stwierdzamy, że zdarzały się także wypadki, ponieważ godziny odjazdów autobusów na ścienne rozkłady jazdy wykonane były na ruchomych wsuwkach blaszanych, które okoliczni chuligani niszczyli lub złośliwie zmieniali, wprowadzając w błąd podróżnych. Z dniem wprowadzenia zimowego rozkładu jazdy, tj. 4.X. br., godziny odjazdów autobusów na ścienne rozkłady jazdy zostały namalowane na stałe, co powinno zapobiec różnym zmianom przez osoby niepowołane”.

Z-ca Kierownika Ekspozytury
do Spraw Eksploatacji
(—) M. Gadziński

„W Nr 45 (121) ukazał się reportaż z życia fabryki obuwia w Otmęcie Śląskim, który zainteresował mnie, sportowca, ze szczególnych względów. Produkowane dotychczas obuwie sportowe, tzw. trampki, właśnie przez w/w Zakłady, są, przynajmniej sobie szczerze, dość niskiej jakości. O ile są one wystarczające jako lekkie obuwie letnie, to na przykład zawodnik drużyny koszykówki niszczy je przeciętnie w ciągu miesiąca (!). Poza tym trampki te nie zapewniają zupełnie bezpieczeństwa zawodnikowi: podczas zawodów koszykówki gracz wykonuje setki wyskoków i skoków na twardym podłożu, co w konsekwencji powoduje liczne bolesne stłuczenia pięt i stóp. I tak na przykład drużyny ligowe przeważnie grają w trampkach zagranicznych (francuskich i węgierskich), które posiadają elastyczną wkładkę i grubą podeszwę, wykonaną z elastycznej gumy. Właśnie wyprodukowana teraz guma mikroporowata dosk nale nadaje się do tego rodzaju celów. Uważam, że Śląskie Zakłady Obuwia w Otmęcie powinny zainteresować się tą sprawą i w planie produkcyjnym umieścić tę pozycję. Liczne rzesze zawodników gier sportowych na pewno byłoby z tego rodzaju innowacji zadowolone”.

Zasylam serdeczne pozdrowienia dla Komitetu Redakcyjnego wraz z życzeniami dalszych sukcesów w pracy.

Stanisław Różecki, Wrocław

„ŚWIAT”

ANEGDOTY

O OBDARZONYCH
ORDERAMI ZA CZASÓW
STANISŁAWA AUGUSTA

— Oto, zdejmij ten order, gdy cię będą wieszali!

ODPOWIEDZ IBSENA

Pewien mało zdolny dramatopisarz, którego sztuki źle przyjmowane były przez publiczność, powiedział raz pewnego do Henryka Ibsena:

— Sad publiczności jest mi zupełnie obojętny.

— Oczywiście — odpowiedział Ibsen — bo inaczej przestałby pan pisać.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefon: Red. Naczelny: 6-41-64, Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wilejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Zakłady Wkłódnodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 757. Papier rotogr. V/80-82 cm. — 4-B-19707
Podpisano do druku dnia 2.XII.53.

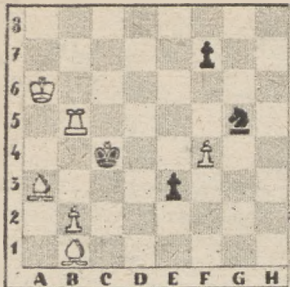
LENGREN



— Zosiu, chodź, zobacz, czy już trzeba posolić?

SZACHY

ZADANIE POZAKONKURSOWE A. Kejrans



Mat w 3 posunięciach

PARTIA Nr 87

grana w XX rundzie Turnieju Kandydatów w Zurichu.

Obrona Nimzowitscha

Białe: M. Tajmanow
Czarna: T. Petrosjan

1. d2-d4 Sg8-f6 2. c3-c4 e7-e6 3. Sb1-c3 Gf8-b4 4. e2-e3 c7-c5 5. Gf1-d3 0-0 6. Sg1-f3 d7-d5 7. 0-0 Sb8-c6 8. a2-a3 Gb4:c3 9. b2:c3 b7-b6

W tym ogromnie modnym dziś wariantcie obrony Nimzowitscha częściej grywane jest 9... d:c4 10. G:c4 Hc7

10. c4:d5 e6:d5 11. Sf2-e5 Hd8-c7

Czarne nie chciały grać 11... S:e5 12. d:e5 Sd7, obawiając się zapewne ataku białych po 13. f4

12.Se5:c6 Hc7:c6 13. f2-f3 Gc8-e6 14. Hd1-e1

Białe przygotowują akcję w centrum.

14... Sf6-d7 15. e3-e4 c5-c4 16. Gd3-c2 f7-f5

Czarne unieruchamiają w

ten sposób piony centralne. Jednakże białe uzyskują dzięki temu wolnego podpartego piona e5

17. e4-e5 Wf8-f7 18. a3-a4 a7-a5 19. f3-f4 b6-b5 20. a4:b5 Hc6:b5 21. Gc1-a3 Sd7-b6 22. He1-h4 Hb5-e8 23. Wf1-f3 Sb6-c8?

Przeoczenie efektywnie wykorzystane przez przeciwnika. Jednak i po 23... Hd8 24. H:d8+ W:d8 25. Gc5 tracimy czarne piona.

24. Gc2-a4! To posunięcie czarne przeoczyły. Nie można błądzić gońca, bo 25. Hd8+ z matem.

24... Wf7-d7

Przegrywało od razu 24... Gd7 po 25. e6!

25. Wa1-b1! He8-d6 26. Ga4:d7!

Oto polenta 25-go posunięcia białych. Na 26... H:h4 nastąpi 27. G:e6+ i 28. G:d5

26... Hd8:d7 27. Wf3-g3 Sc8-a7 28. Ga3-e7 Ge6-f7 29. Hh4-g5 Gf7-g6 30. h2-h4 Sa7-c6 31. Ge7-a3 Sc6-d8 32. h4-h5 Sd6-e6 33. Hg5-h4 Gg6-f7 34. h5-h6 g7-g6 35. Hh4-f6 Hd7-d8 36. Ga3-e7 Hd8-c7 37. Wg3:g6+! h7:g6

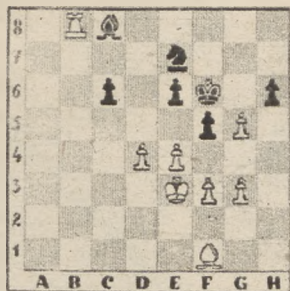
Nielepsze było 37... G:g6 38. H:e6+ Gf7 39. Hf6 38. h6-h7+! Kgs:h7 39. Hf6:f7+ Se6-g7 40. Kgt-f2 i czarne poddały się.

MECZ SZACHOWY „ŚWIAT” — CZYTELNICY

W partii W1 większość Czytelników zagrała 44... g7-g5 (49%). W partii W200 największej głosów padło na posunię-

cie 44... d5-d4 (54,6%). Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji partię naszą wyglądają następująco:

PARTIA W1

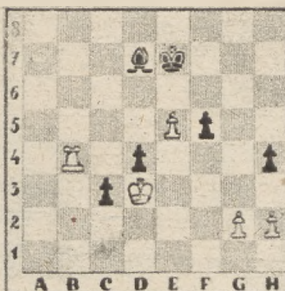


43. Kf1-e3 Kg6-f6

44. h2-h4 g7-g5

45. h4:g5+

PARTIA W200



43. Gd4:c3 b4:c3

44. Ke2-c4 d5-d4

45. Wb6-b4

Przypominamy, że odpowiedzi na 45 posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek 8 grudnia br.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 115

KRZYŻÓWKA. Poziomo: akordeon, kaur, Fredro, era, bagnet, Majakowski, reduta, dysk, szyb, Puszczyk, tio, Smetana, sto, Bek, kosa, Rea, kep, gill, cho, SP, Goa, Iskra, aud, do, LS, Włech, osm, lin, lej, mikron, hejnal, luk, lan, trener, laktier, Nowotko, Matejko, Ag, Pad, lora, Dym, Ob, osad, Mieczurin, gram, kra, Haga, kły, Pionowo: barak, mora, nerw, aneks, aktywn, Parys, farsa, unik, mdle, atlas, Azja, stek, utopia, Tosca, oblok, Neptun, Tatry, Krymow, Ill, zak, as, gaj, Pascal, Gogol, Sam, le, bartiera, on, parapet, rundz, berok, Halka, Jakub, wrak, tama,

olcha, Marat, tynk, jury, go, om. Za dobre rozwiązanie zadania z Nr 115 nagrody książkowe otrzymują: R. Chmielewski — Włochy, k/W-wy, W. Fabisiak, S. Frenkiel, A. Medynska, D. Pietraszkiewicz, A. Węglowski — Warszawa, S. Grudziński — Komorów, W. Klusiewicz — Wrocław, Z. Kochanowski — Chorzów, H. Kompf — Poznań, M. Lebedowicz — Nisko, W. Paly-

ska — Wołomin, W. Proniewski — Faleńca, M. Rogowski — Wiskitki, M. Bierakowska — Kraków, M. Soltykow — Mysłowice, J. Superat — Bytom, A. Szlag — Ochmanów, M. Uszycka — Sopot i W. Wyszyniec — Łódź.

Nagrodę autorską za zadanie z Nr 115 otrzymuje R. Szponer z Jedn. Wojsk.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 116

Labirynt: Współzawodnictwo pracy pod hasłem „Ja nie wypuszczę braku” (wpis,

slucup, parów, wolacz, zakaz, zaw, wątroba, Adia, anonim, moc, cent, tuba, awizo, okap, parochod, dąb, bohomasz, zespol, leb, bele, emiaja, Amado, Ono, oś, światek, Kenia, Awar, rys, sep, gud, duma, Aspasja, akces, szczelca, abazur, rękta, Aa, Acra, klat, tiul, Lew).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 116 nagrody książkowe otrzymują:

J. Łukasik — Chwałibogowice, W. Zbieralski — Faleńca, D. Zieleniecka — Gdańsk - Wrzeszcz, J. Ziętek — Gniezno, K. Walterowa — Inowrocław, I. Butkiewicz — Kraków, A. Kluz — Łańcut, M. Przybylski — Międzyrzec, A. Wajerowicz — Pabianice, J. Powalkiewicz — Piaseczno, L. Toboliński — Piętkary śląskie, J. Witkowski — Stalino, S. Lenkiewicz — Strzyżów, L. Budzikowska — Szczecin, M. Jeleńska, T. Małejski, S. Majewski, W. Mikucki, Z. Utkowa, A. Zgłobica — Warszawa.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

MARIAN BRANDYS

OFIARA REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO

Dokończenie ze str. 9

chętniej czytać będą artyści oraz ci wszyscy, którzy interesują się rewolucyjnymi przemianami zachodzącymi w naszej sztuce. „Kłopoty z talentem” niewątpliwie spowodują wokół siebie wiele hałasu. Bo ta ostra i bardzo zabawna satyra na środowisko malarskie z zaskonspirowanego, lecz łatwego do odcyfrowania, miasta N! — dla wielu ludzi będzie książką bolesną i bardzo drażliwą. Każdy czytelnik tego satyrycznego pamfletu będzie się starał odnaleźć właściwy „klucz” personalny do książki i z łatwością go odnajdzie. Ale szukanie takiego klucza nie jest konieczne, gdyż „Kłopoty z talentem” — jak i każda dobra satyra — obejmują swym zasięgiem krąg znacznie szerszy od kółka żywych prototypów swoich postaci. I chociaż jest to książka o malarzach, można ją z powodzeniem uważać także za obraz ideologicznej i twórczej ewolucji znanego nam z roku 1945 autora surrealistycznego „Lunaparku”.

Jestem przekonany, że Tadeusz Kwiatkowski — spoglądając na drogę, którą w ciągu ośmiu lat przebył od „Lunaparku” do dwóch ostatnich książek — nie ma pretensji do tych, którzy skłonili go do zarzucenia jawowych eksperymentów surrealistycznych. I jestem przekonany, że dziś nie uważa się za ofiarę realizmu socjalistycznego.



TANIO i ŁADNIE

W reportażu Lucjana Wolanowskiego na str. 12/13 inż. Leszczyński, dyrektor Centralnego Laboratorium Przemysłu Odzieżowego w Łodzi, wskazuje z obliczającą miną na szafę...

Oto szafa otwarta: wyjęto z niej modele, zaakceptowane do produkcji na rok 1954. Rzeczywiście jest lepiej, ale — tak, są i ale: 1) Dlaczego — skoro wiadomo, że przeciętny typ kobiety w Polsce nie jest bynajmniej eteryczny — w kostiumie (na ogół zresztą dobrym) projektuje się kleszenie u góry?

2) Dlaczego i płaszcz i kostium mają charakter nieomal mundurów i niepokojąco (wyłączając spodnice) męski?

Bardzo ładna natomiast jest sukienka z cienkiej wełny („szeszedziesiątki”), kolorowa,

trzyćwciowy rękaw z efektywnie rozwiązany wykończeniem pod szyją.

Również podobal nam się płaszcz męski, aż trudno uwierzyć, że już za parę miesięcy, bez żadnych trudności, będziemy go mogli nabyć w pierwszym lepszym sklepie MHD.

A propos sklepów MHD: kategorycznie protestujemy przeciwko zasadzie, że o wartości wzorów tkanin i fasonów mają decydować placówki handlowe. Dotychczasowe doświadczenia dobitnie wykazały, że ten system jest jak najgorszy. Powinny decydować komisje specjalistów z Instytutu Wzornictwa, CPLIA — no i odbiorca.

Urządzący dyskusyjne pokazy modeli w ośrodkach miejskich i wiejskich, a dowiecie się, że to, co podoba się kierownictwu sklepów — prawie z reguły nie podoba się klientom!



